



Warszawa d. 19 Lutego (3 Marca) 1878.

N^o 9

Serya piąta.—Rok trzynasty

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 6,—półrocznie rs. 3,—kwartalnie rs. 1 kop. 50—miesięcznie kop. 50. Redakcja i Ekspedycja główna: ulica Czysta N^o 415 (nowy N^o 2).

Każdomiesięcznie jako premium dołącza się jeden tom powieści lub utworów popularno-naukowych, oraz przy każdym numerze arkusz dzieła „Panteon wiedzy ludzkiej.”

Prenumerata na Prowincyi:

Rocznie rs. 8,—półrocznie rs. 4,—kwartalnie rs. 2.

W Austrii, we Lwowie: w księgarni Richtera, cena roczna 14 guldenów;—w W. Ks. Poznańskim u M. Leitgebera 8 talarów.

SPIS ARTYKUŁÓW: Leon XIII.—Teorya biletów kredytowych.—Kresy dziejowe. Szkic A. G. Bema. IV. (c. d.).—Kronika Paryzka.—Kary jako środek pedagogiczny.—Bogumilicy w Bośni i Herzogowinie.—Z prowincyi. IV.—Kronika Powszechna.—Przebieg Polityczny.—Wiadomości handlowe.—Do wszystkich.—Echa IX.

LEON XIII.

Kiedy dwa tygodnie temu zamurowano niszę nad drzwiami, wiodącemi do archiwów kaplicy Juljańskiej i położono znak „Pius IX P. O. M.” — zamknęła się terazniejszość za zmarłym papieżem, a rozpoczął sąd historyi, oraz wybór nowego naczelnika kościoła katolickiego. Z pośród przesadnych pochlebstw, które aż tytuł „Wielkiego Piusa” usłużnie podsuwają, z pośród głosów bezwzględnej nienawiści, przyszłość wydotanie słowo prawdy, której nie uprzedzając, przeszliśmy nad życiem zmarłego milczeniem, wyręczeniu zresztą w drobiazgowych opowiadaniach znanych aż nadto szczegółów przez tysiące pism i pisemek klerykalnych i prawowiernych.

W tej chwili dla nas to tylko jest ważnem, gdyż fakta zdają się potwierdzać, iż Pius IX, zostawiając ogromny majątek osobisty papieżtwu, sto dwadzieścia milionów franków wynoszący, wyznaczył zarazem jednocześnie i swego następcę wedle własnej dotychczasowej polityki, tak na polu kościelnem, co nas mniej obchodzi, jak i na polu polityczno-społecznem, co już powszechnych interesów dotyczy. Wśród niezaprzeczonej nawet przez jezuickie dzienniki swobody, zebrało się Conclave kardynałów dla odprawienia średniowiecznych ceremonij w Watykanie i odegrało swą rolę dość przejrzyście, aby nie odgadnąć, czyja ręka kierowała tym razem niezbyt upartym wpływem S^{go} Ducha. Nie trudno pojąć, iż w zgromadzeniu 61 kardynałów, z których każdy reprezentuje przynajmniej własną do papieżkiego tronu pretensyę, wybór nie może być łatwym i prędkim, jeżeli nie jest extra murów Conclave z góry ułożonym. Tym razem koczujące przed gmachami Watykanu tłumy ogładywały dwukrotnie sławny dym ze spalonych wotów, a już w pierwszym skrutynium *tylko pięciu* brakowało głosów do bezwzględnej większości dwóch trzecich, których potrzeba do wyboru nowego pontifexa. Więc też niebawem kardynał Franchi i jego zwolennicy ugięli kolano przed kandydatem większości, a za przykładem tym poszedł kardynał Ségur i dostojnicy francuzcy, dodając do swych życzeń milion franków świętopietrza, jako *pierwszy* dar, który episkopat francuzki zamierza złożyć papieżowi.

Ogłoszono więc biskupem rzymskim, namiestnikiem Chrystusa na ziemi, głową kościoła katolickiego, kardynała Joachima Pecci, arcybiskupa Perugii, który imię Leona XIII przyjął.

Nazajutrz otworzyła się w południe loża bazyliki watykańskiej, a kardynał dyakon obwieścił wybór nowego papieża, który się ukazał o godzinie w pół do piątej otoczony kolegium kardynalskim, zaintonował „benedicite” i udzielił błogosławieństwo ludowi, wydającym okrzyki i klaszczącemu w dłonie z tym samym zapalem, z jakim krzyczał, gdy Wiktor Emanuel i Garibaldi do stolicy wjeżdżali, z jakim płakał na pogrzebie R^e galantuomo i żegnał zgasłego Piusa. To lud rzymski, któremu jeśli nie można już dziś rozdawać *panem*, to trzeba od czasu do czasu sprawiać *circenses*. Zresztą z uderzeniem dzwonów wszystko, co tylko miało przystęp, ruszyło do Watykanu, radując się lub udając radość — wszyscy bowiem zewsząd zapewniają na wyścigi o swem niesłychanem szczęściu i o wielkiem zadowoleniu.

Zobaczmy chłodno, jak z dotychczasowych źródeł przedstawia się osoba Leona XIII. — Kardynał Pecci w S^{w.} Kolegium należał nie tylko do najważniejszych, ale i najenergiczniejszych członków „nieprzejednanych”, ale zarazem „umiarkowanych”. Zbliżony, jako osobisty przyjaciel Piusa, do najważniejszych tajemnic zmarłego papieża, mianowany został przez tegoż kardynałem Kamerlengo, to jest głową kościoła podczas interregnum. Była to zręczna maska własciwych Piusa zamiarów, gdyż, według tradycyi kościoła, sprawujący ten urząd prawie nigdy nie otrzymywali papieżkiej tiary; szło zaś tym razem o zapobieżenie różnym postronnym intrygom, a nawet prawu *velo*, gdyby go chciało użyć. Ta ścisła między Piusem a Peccim przyjaźń, to wtajemniczenie go w tajniki kościoła i spraw politycznych, to ujednostajnienie poglądów służy za podstawę przypuszczeniom, iż nowy papież pójdzie dalszą przez poprzednika wskazaną drogą i że, jeżeli zaszła na tronie papieżkim zmiana osób, nie się nie zmieni w systemacie polityki. Takie mniemanie byłoby słusznem, gdybyśmy nie wiedzieli, jakie zachodzą w usposobieniach i wyobrażeniach przemiany, gdy się jest u stóp tronu i na tronie, gdy się jest opozycyą lub siedzi na ministerjalnym stolku. Niektórzy robią tę uwagę,

iż kardynał Pecci był uważany za przeciwnika Antonello; ale i ten ostatni miał swój okres liberalizmu, co mu nie przeszkadzało skrajnym być zacofancom. Współzawodnictwo mogło się ograniczać do zwykłych intryg, siłą których za życia Antonello Pecci długi czas był trzymany zdala od Rzymu.

Urodzony d. 2 maja 1810 r. w Carpinato pod Anagni, d. 19 grudnia 1853 r. został kardynałem, a 1846 r. biskupem Perugii. Jako delegat w Benewencie znalazł pole rozwinięcia swej energii i swych pragnień rządzenia, a pierwszym owocem jego usiłowań było wytepienie rozbójnictwa; później zaś jako delegat Spoleto i Perugii uporządkował z świetnym skutkiem tamtejsze sprawy administracyjne, co dowodzić może talentów i żądz mało pożytecznych w obecnym stanie papieżtwu, pozbawionego świeckiej władzy. Z drugiej strony głos powszechny przyznaje mu wysoką uczoność w sferze teologicznej wiedzy i wielkie talenta dyplomatyczne. Kardynał w założonej dla kleru przez siebie akademii S^{go} Tomasza prowadził bardzo często gorące dysputy w kierunku nader fanatycznym. Już to samo zamiłowanie teologa do rozpraw wiele mówi, tem więcej, że cała jego postać, pełna wyrazu i energii, czyni go raczej osobistością wydatą z średnich wieków, niż należąca do naszych czasów. Ostre, ale nie bez pewnej szlachetności rysy z wyrazem ascetycznym, przy wyniosłej chudej postaci, nie pozbawiają go przecież pewnego majestatu. Głos podczas przemów silny i wyraźny, w zwykłym użyciu, obyczajem rzymskim, wychodzi przez nos. Ruchy nieco teatralne, ale usiłujące być poważnemi.

Taką jest przeszłość Leona XIII i takie wywiera on na otaczających zewnętrzne wrażenie. O fizyognomii duchowej cóż powiemy? Mało do tego jest jeszcze źródeł. Bonghi zalicza go do umiarkowanych, a w 1872 r. miał stać na jednej równi pojęć z kardynałami Schwartzenbergiem i Rauscherem. Lecz nieco światła na tę kwestyę rzuca list pasterski, z którego charakterystyczny ustęp w zeszyłym numerze przytoczyliśmy. Zdaje się on świadczyć, iż z po za formuł dogmatyki umysł nowego papieża nie podniósł się jeszcze swobodnie, iż oczy i chęci są jeszcze zwrócone do przeszłości, do punktu której świat się ma cofnąć. A więc nie będzie to papież, choćby najbardziej

umiarkowanej teraźniejszości, a nieszczęsna walka wiedzy postępu z wiarą rozwijać się nie przestanie dalej. Czy na wielki pożytek religii i ludzkości, wątpić należy.

TEORIA BILETÓW KREDYTOWYCH.

przez

J. FINKELHAUSA.

Jeden z zapoznanych skarboznawców wobec niemożliwości obarczenia podatkiem głównym baronów, hrabiów i książąt, domaga się gwałtownie nałożenia podatku na tytuł... ekonomisty. Opłata tego rodzaju ma w najgorszym razie wszelkie szanse legalności. Zarówno bowiem tytuł księcia, jak ekonomisty, zaspokaja wymagania naszej próżności. Słowem, podatek byłby w każdym razie opłatą od zbytku. Toć i książęta przyozdabiają obecnie swoje mitry kwiatkami, zerwanymi na polu zasług dla teorii ekonomii. Możesz sobie zresztą, czytelniku, kwestyonować sprawiedliwość takiego podatku, ale nie powątpiewaj nigdy o jego praktyczności. Pomijając bowiem niezliczoną moc naszych domorosłych wielkości naukowych, które, mówiąc nawiasowo, niezbyt dawno poważnie rozpatrywały projekt zabronienia sprzedaży naszych produktów rolniczych za granicę, dostatecznym byłoby przyjrzenie się w chwili obecnej rosyjskiej publicystyce, by przekonać się o słuszności mego zdania. Zdaje się zwolennicy teorii wrodzonych idei mogliby u tego źródła zaczerpnąć obfity zasób argumentów. Nic naturalniejszego! Czemże bowiem objaśnić ten gorączkowy ruch i zadziwiająco obfity urodzaj nowych idei z dziedziny nauki skarbowej? Niewątpliwie, że chyba na dnie duszy przeciętnego śmiertelnika leży uspijony ekonomista. Potrzeba tylko maleńkiej iskielki, by przebudzić tlejące zarzewie. A czegoż się dopiero można spodziewać, jeżeliby pożar zajął głowy i zmusił je do odstonięcia świata wewnętrznej ich zawartości? Tegom się zawsze obawiał dla dobra nauki wogóle i dla honoru publicystyki w szczególności. Niestety, wojna była tym pożarem... Równocześnie z uwidocznioną potrzebą pieniędzy dla jej prowadzenia zahaczało nad głowami czytelników—spółzawodnictwo myśli, silącej

się zaradzić potrzebom państwowym. Ekonomisci, grzebiąc w głębiach własnych, a więc wrodzonych idei, domacali się nakoniec owych szczytnych projektów, które w zdumienie wprowadziły świat nauki. — Skarboznawca jednego z poczytniejszych dzienników rosyjskich zaproponował np., żeby na ołtarzu potrzeb państwowych przynieśli poddani całopalenie z kawałków srebra i złota, walęsających się bezużytecznie po ich kufkach i kasach. Niewiadomo, czemu się bardziej dziwić: czy zdolności akuszerki, który z łona nauki wyprowadził ten ze wszech miar dziwny nowotwór, czy też szczerzej gościnności, jakiej udzieliło temu projektowi wzmiankowane czasopismo. *Similia similibus curantur*. Ażeby widocznie umiarkować zadziwienie z tego powodu, uruczono ogół czytelników projektem podniesienia ceny za bilety jazdy na kolejach żelaznych, a zebrany tym sposobem kapitał przeznaczyć na cele wojny. Nie potrzebujemy się czepiać innych projektów, gdyż wszystkie (z małym wyjątkiem) mają zadziwiająco wspólne cechy. Wszystkie robią wrażenie bezbronnego żołnierza, idącego na bój morderczy. Wtedy, gdy każdy projekt ekonomiczny oszańcowuje się pancernem sprawiedliwości i praktyczności, autorowie owych dziwadł finansowych wysyłają je na świat w stanie... natury. Bij, uderzaj, gdzie chcesz — zdaje się mówić do ciebie każdy z owych finansistów — projekt mój pozostanie zawsze niewzruszony jak skała. Zresztą, dlaczegożby krytyka nie miała nigdy uprawiać galanterii? Toć jeżeli nie napadamy nigdy na dzieci, a unikamy starcia z kobietami, dla czegożby tylko krytyka miała uderzać „na Bogu ducha winne istoty”? Zobaczymy bowiem poniżej, że owe projekta docierają nieraz do samej Opatrzności. Czyżby na to liczyła nowsza literatura ekonomiczna? Jeżeli tak, to bezwątpienia rzeczywistość odpowiedziała wyczekiwaniom.

Nie dziw się, czytelniku, powyższemu ustępowi. Jeżeli słusznym jest, żebyśmy wprzódy zbadali grunt, na którym rośnie dana roślina, zanim przejdziemy do rozbioru jej właściwości, dla czegożbyśmy nie mieli stosować tego środka i na polu nauk społecznych. Oderwane fakta nigdy niczego nie nauczą. Gdybym cię nie uprzedził o istnieniu manii ekonomiczno-skarboznawczej, która dziesiątkuje i w chwili obecnej głowy większości publicystów, zamiast uwierzyć

w istnienie choćby jednego z powyższych projektów, kiwałbyś głową na znak silnego powątpiewania. Żeby zaś wyznaczyć szczerze, wiary w moje słowa potrzebuję jak zbawienia. Mam bowiem zamiar mówić o pracy Bielińskiego: „Co to są pieniądze papierowe i o możliwości przesilenia handlowego w Rosyi”¹⁾. Prawda, zapomniałem że tłumaczę się za pomocą metody *ignotum per ignota*, to jest objaśniając niewiadome przez niewiadome. Byłbym jednak w prawdziwym kłopotcie, chcąc na razie zaspokoić twą ciekawość, czytelniku. Ktoś dla określenia inkwizycyji zdołał tylko powiedzieć, że to była... inkwizycyja. Jabym także nie zdołał zakwalifikować pod pewną kategorię przymiotów rozpatrywaną pracę, chyba utworzywszy nową i to z nagłówkiem jej (pracy) autora. Przyjrzyjmy się jej bliżej. Autor już na pierwszych stronicach bryztał swym idealizmem w oczy czytelnikowi. Pomijając nowoczesne wyniki wiedzy skarboznawczej, Bieliński stara się dowieść, że stan interesów państwowych i... kurs giełdowy znajdują się w stosunku dwóch przeciwnych biegunów. Dewizą polityki skarbowo-monetarnej winno być to prawidło, że sam fakt istnienia państwa i możność sprzedawania i kupowania towarów unicestwia wszelkie kłopoty pieniężne. „Miejmy tylko co do sprzedania, a pieniądze zawsze mieć będziemy” — woła w uniesieniu autor. Posuwając na takie wyżyny gospodarstwo państwowe, autor uważa za konieczne zrobić to na koszt interesów prywatnych. Nic naturalniejszego! Z jednej strony występuje, według autora, wzniosła idea państwowa, wysokie cele; z drugiej — brudny pieniądz. Z jednej strony wieczność, z drugiej interesa chwili. Czemże zresztą jest pieniądz? Był czas, kiedy ludzie zupełnie nie znali tego pojęcia i żyli szczęśliwie pod czułą opieką niebios i bogów. Towary zamieniano bezpośrednio na towary. Dowodem tego przeszłość, teraźniejszość na pól ucywilizowanych narodów Australii, Afryki, Ameryki i Azji, Rosyi w jej stosunkach z Chinami i przewidywana przez autora... przyszłość. Potrzebaż było, żeby Fenicyanie, ci „starożytni Anglicy”, jak ich B. pogardliwie nazywa, wprowadzili pieniądza jako środek zamiany! Niby skorupa, ludzkość nasiąkała tem zlem

¹⁾ Czoł także *bumażnyja diengi* i t. d. Charkow 1878.

ECHA WARSZAWSKIE.

IX.

Chociaż tyle naraz organów prasy naszej pracuje wytrwale nad pogrążeniem ogółu naszego w błogostanie prawomyślności, jednakże, o dziwy, są ludzie, którzy uprawiają opozycję dla samejże opozycyi. Świadczy o tem ostatnie zgromadzenie adeptów i sług nadwiślańskiego „Merkurego”, który obecnie wprawdzie nie zdumiewa szybkością swych obrotów, ani rozgałęzieniem interesów, ale prowadzi dość przyzwoity żywot w błogiej mierności.

Ogół członków przybył na to posiedzenie w usposobieniu arcy harmonijnem, zadowolony z czynności organów administracyjnych stowarzyszenia, przygotowany do zatwierdzenia wszelkich sprawozdań i projektów. I wszystko byłoby się odbyło jaknajzgodniej i najpiękniej, gdyby nie przeszkodził temu znani przedstawiciele i uprawiacze opozycyi w naszym miniaturowym parlamentarystwie. Już ogół członków przychylił się do aprobaty sprawozdania, które w istocie wykazywało dosyć przyzwoity obrót interesów stowarzyszenia, gdy p. Wróblewski powstał

i zabrał głos, aby oskarżyć—kogo—jak się wam zdaje? Oto redakcyę *Kuryera Świątecznego*, która poważyła się użyć do swych dowcipów „miarki dziadowskie”, urządzone w myśl jego projektu. Nie była to jednak jeszcze opozycya, ale tylko głos nieokreślonego niezadowolonia, które nie przeszkodziło jednak członkom potwierdzić sprawozdania w całości. Prawdziwy turniej opozycyjny stoczył za to p. Maciejowski, któremu się nie podobało, że rozdzielając większość zysków na dywidendę w wysokości 2%, Zarząd proponował 500 obrócić na kapitał rezerwowy w myśl zdrowych zasad ekonomicznych, które każą oszczędzać fundusze i zostawiać je na nieprzewidziane przypadki. Chociaż użyteczność tego wniosku była bijącą w oczy, p. Maciejowski, wierny swym opozycyjnym zasadom, borykał się pięciokrotnie z Zarządem w oratorskim pojedynku, sypiąc gradem cyfr, jak z rękawa. Wymowa wszystkich członków Zarządu nie mogła pokonać werwy upornego oponenta, tak, że nareszcie prezydujący powstrzymał oratorskie zapędy, a wniosek zarządu został zatwierdzony. Posiedzenie zakończyło się prawdziwie harmonijnym aktem zadowolenia, który przyniósł pogodę po tej parlamentarnej burzy w łyżce wody. Wszyscy dotychczasowi członkowie władz administracyjnych i kontrolujących wyszli na nowo

z urn wyborczych, tak że całe ciało rządzące „Merkurego” odrodziło się jak feniks z popiołów.

Po raz trzeci Towarzystwo Muzyczne od początku swego istnienia zabiera się do wyboru członków komitetu, z łona których ma wyjść przyszły dyrektor. Ważną tę chwilę poprzedziły więcej niż dawniej silne agitacye kierowników woli członków, stosunkowo mało się interesujących kwestyą, kto będzie kierował instytucyą. Najdziwaczniejszej natury intrygi, jak mówiono, zmarzły na północy lub rozbiły się o skaliste przekonania założycieli. Uzasadnione niechęci wzięły górę nad apatycznością i nie wpuściły intrygujących do przybytku Apollina. Szturmy przypuszczane do twierdzy, której mieszkańcy nie spodziewali się nawet nieproszonych gości pod murami, rozbiły się przy kilkorazowym odparciu ze znaczną, choć tylko moralną stratą dla atakującego. Apollina rywale nieprzeszają jednak występować do walki o honor, kto palić będzie kadzidła przed ołtarzem bożka sztuki. Listy przyszłych członków komitetu uwijają się pomiędzy publicznością, a przysięgi na słowo honoru, że ten lub tamten będzie wyborym dyrektorem krzyżują się po powietrzu. Pan X. kochany człowiek, nikomu w drogę nie wejdzie; pan Y. bardzo gładki

i konwulsyjnie uczepliła się pieniędzy w formie złota i srebra. A jednak można było uniknąć tego nieszczęścia. Wprowadzenie złota i srebra było tylko dziełem „zbiegu okoliczności” (!!). Czyż niektóre plemiona środkowej Afryki, Ameryki, Australii, nie przypisują wartości monety kawałkom jaskrawych materyj? Możemy to zresztą sprawdzić na sobie. Instynktowne przywiązanie do drogocennych złotych i srebrnych ozdób jest tylko miarą naszej próżności, której się nam nawet każe wyrzeźbić religia chrześcijańska. „Ludzie biedni, niemający u siebie żadnych zapasów złota, żyją jednak nierównie szczęśliwiej, powiada autor, niż ci, co jedzą srebrnymi łyżkami i noszą złote zegarki”. Nie rozpaczajmy jednak! „W sferze klas wyższych poczyną się objawiać wstręt do złota w formie... ozdób”. Przerzucając kartki historii, Bieliński wykazuje, że już Piotr W. był nieprzyjacielem złota i srebra, ergo — jak powiada autor — wartość złota jest tylko *względna*. Religia chrześcijańska, postęp myśli wywołał przewrót w pojęciach na niekorzyść złota. Niech dzisiaj zniknie z widowni ziemi ten złoty metal, a ludzkość nie poświęci mu ani jednej łzy żalu. Jeżeli dziś używamy jeszcze złota jako środka zamiany, to przyczyn jedynie poszukiwać należy w „zachowawczym nastroju ludzkości” (!!), który każe jej wyciągać ręce za dawno znikłym mamidłem. Geneza tej zmyry, która trapi ludzkość przez tyle tysięcy lat, jest według B. bardzo prosta. Początkowo charakter złota, jako środka zamiany, był czysto prywatnej natury. Konieczność ścisłego określenia jego wartości zmusiła państwo ustanowić pierwszą monetę i opatrzyć ją swoim stemplem, jako ochroną przeciwko nadużyciom. Z biegiem czasu prawo bicia monety staje się państwowym regalem. Idźmy dalej... Napaści na drogach publicznych zmusiły w średnich wiekach użyć, w charakterze pomocniczego środka dla handlu, kredytu i weksli, jako formalnego wyrażenia pierwszego pojęcia. Weksel, rozumie się, jest tylko przedstawicielem wartości towaru, a więc daje pewne prawa, w żadnym zaś razie nie jest sam przez się wartością. Rządy, przekonawszy się o korzystności tego rodzaju operacji, wypuszczają także państwowe bilety kredytowe albo tak nazwane pieniądze papierowe. Czemże są w takim razie pieniądze papierowe? Wyrażają one tylko ilość długu, zaciągniętego przez kasę państwową u po-

siadaczy danych papierów. Czytelnik widzi, że nasz wniosek nie wybiega po za ramy, nakreślone przez autora. Nie bacząc bowiem, że B. zabarwił na kolor nieokreślony fakty przeszłości, nie zdołał on jednak zamącić rzeczywistego pojęcia pieniędzy. Autor wypiera się gwałtownie tego określenia. Zastanówmy się nieco dłużej nad tą kwestyą, ze względu, że w Cesarstwie po- gląd B. liczy wielu zwolenników. Pieniądże papierowe nie są, według ich pojęcia, weksłami, gdyż weksel daje się zawsze i wszędzie za otrzymane towary i dla tego to przy normalnym biegu handlu weksel rzadko zostaje realizowanym za pomocą znaków pieniężnych. Nie są one także odzwierciedleniem jakiegoś długu, zaciągniętego u poddanych, choćby dla tego, „że nikt nie może być wierzyicielem swego własnego majątku”. „Rząd i naród stanowią jedną całość. Rząd może być dłużnikiem w stosunku do ościenego narodu, ale nigdy względem swoich poddanych”. Te kilka wierszy, któremi są zadrukowane rosyjskie banknoty, świadczą tylko, że w razie potrzeby ich posiadacz może zaproponować państwu zamianę na pieniądze metaliczne. Zamiana oznacza akt dowolności, ale nie musu. Kasa państwowa zapatruje się na banknoty, jako na towar, tem samem płaci ich... bieżącą wartością.

(D. n.)

KRESY DZIEJOWE.

SZKIC

A. G. BEMA.

IV.

Pomimo, iż zostająca pod kierunkiem kilku osób konfederacja daleko prawidłowiej rozwijała swe czynności, niż wszystkie tak zwane „sejmy wolne”, to jednak i w naszych obradach trudno dopatrzeć się jakiegokolwiek prawodawczej metody. Początek sejmu, w którym zaniedbano ceremonii łączenia się i rozłączania izby poselskiej z senatorską, oraz niesfornych „rugów” i kłopotliwego obioru marszałka, miał jeszcze na sobie cechę pożądanego ład; ale kroczyć tak dalej po równym gościńcu było rzeczą niemożliwą: z jednej bowiem strony burzyły się zaciągnięte pod sztandar żywoły republikańskie,

z drugiej — niezgodni ze sobą i skrepowani do pewnego stopnia monarchiści nie mogli kłaść stanowczej tamy swym przeciwnikom: raczej więc podejściem, niż jawnie z nimi walczyli. Sejm nasz tedy, choć opatrzony z góry odpowiednim mandatem i będący rozszerzeniem utworzonego przez Radę związku, przedstawiał w swym rozkwicie podobiznę przeszłych i przyszłych swawolnych biesiad pradziadowskich. Obradowa sala była dziś już wprawdzie nie „areną walk”, lecz „kuźnią prawodawczą” (*officina legum*); ale mimo to budzić jeszcze mogła wyraźne wspomnienia obrazów, nakreślonych przed 15 laty (1761 r.) w dziele Stanisława Konarskiego *O skutecznym rad sposobie*. Posłuchajmy słów uczonego a trzeźwo myślącego pijara: „Na niektórych sejmach ceremoniały pierwsze jako tako idą — do powrotu z senatu; tu zaś już żadnego do końca sejmku nie masz porządku w materyach, nie masz w głosach: wolno mówić np. o sposobach przymnożenia do skarbu intrat Rzeczypospolitej; drugi głos wpada — o poprawie trybunału, trzeci — o aukcyi wojska, o interesie kurlandzkim, piąty już — o reparacyi kamienieckiej fortecy, szósty, że nawigacye zatarasowane młynami, inszy — o żydostwie i o olkuskich minach; aż tu jeden wypadnie: *ante omnia*, według instrukcyi mojej, *pod upadkiem sejmku*, trzeba, aby Rzeczpospolita rozszadziła tę albo ową krzywdę... Mów kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt minie, nie wiedzieć jeszcze, o co nam pryncypalnie idzie”. Od podobnej płataniny, właściwej zwykłym sejmom, na których jeszcze prawem zwyczaju panowała zasada „*liberum veto*”, nie był zupełnie wolny, oparty na większości głosów i nasz wiec pod konfederacyą. Nie będziemy zatem rozbierać w dalszym ciągu wszystkich poszczegóło sesyj; niewolnicze bowiem śledzenie przerywanych a krzyżujących się ustawicznie projektów psułoby całość obrazu i nużyło czytelnika. Wolimy raczej tę krótką chwilę życia narodu przedstawić w kilku wypełniających ramy ogólne epizodach: opisawszy kolejno sprawę „demarkacyi” oraz początek i wzrost Rady Nieustającej, podamy wiadomości o ówczesnym stanie skarbu i wojska, o komisji rozdawniczej w starciu z edukacyjną, o projekcie „zbioru praw sądowych” i o innych sejmowych rzeczach, mających jakakolwiek wartość dla dziejów cywilizacyi w Polsce.

w towarzystwie, a pan Z. najlepiej grał na skrzypcach, kiedy lepszego nie było. Wyborne kwalifikacye, ani słowa, bo w dodatku konkurencji przyrzekają po dostaniu pałeczki dyrektorskiej uwzględnić wymagania najmniej muzyczniejszych członków towarzystwa i do ich gustu się stosować. Ciekawa istotnie rzecz, jakie zapatrywania przemogą? My, którzyśmy przywykli widzieć na czele sądownictwa prawnika, na czele uniwersytetu uczonego, na czele instytucyj finansowych ekonomistę, proponowalibyśmy na dyrektora Towarzystwa Muzycznego — muzyka. Dwaj pierwsi dyrektorowie byli najlepszymi wirtuozami, trzeci więc powinien być najlepszym kompozytorem. W tym względzie nie potrzebujemy wygłaszać naszych przekonań, bo one są równoznaczne z głosem powszechnej opinii, oddającej pierwszeństwo panu Żeleńskiemu. Niezależnie więc od tego, że p. Żeleński jako profesor kompozycyi w konserwatorium dostał za kwartał pracy *przypadające* mu 25 rs. a nie *przyznane* — jak się nie właściwie wyrazić — niezależnie od tytułu konkurentów o honor i pieniądze, jemu powinien się dostać kierunek Towarzystwa Muzycznego, ze względu na jego talent i na potrzebę użytkowania tego talentu na właściwem polu. Tak powiedziałby każdy człowiek pojmujący interesa instytucyi w duchu jej

specyalności; jakiego jednak zdania będą wyborcy do komitetu Tow. Muzycznego dowiemy się za dni kilka. Dzień 3-go Marca będzie wyborem świadectwem dojrzałości naszych sądów. Nie przesadzajmy więc.

Prassa zwyciężyła! Utyskiwania na tłok przeszłorocznej tomboli wpłynęły dodatnio na postanowienia komitetu zabaw. Ograniczono liczbę biletów, urządzono dwie wspólnie kontramarkarnie, dwa podjazdy, dwa wejścia, powiększono służbę, skompletowano muzykę, usunięto fanty zabierające miejsce w sali, udekorowano przestrzegaczy porządku w białe kokardki i otworzono kilkanaście sal w gmachu Ratusza. Intrygujący, intrygowani i intryganci przechadzali się swobodnie po gładkich posadzkach, szukając po sali z lornetami w rękę znajomych osób. Kobiety dzięki dominom i maskom na twarzy wyszły zdrowo z maskarady, mężczyźni podmrażali sobie nosy. Najbardziej przyzwyczajeni do publicznych zabaw defonowali się obszernością lokalu i nie śmieli ziewać z nudów. Wszyscy się poznawali, pomimo masek, o dwadzieścia pięć kroków. Nawet reporterzy *najpopularniejszych pism* dopięli celu. Widziano ich. Jeden, jak Byron o maszt okrętu, stał oparty o balustradę przy wyjściu i dumiał tęsknie. Żadnego mostka, ani kawałka rynsztoka, ani

rezymieszka, ani psa z białym ogonem a czarnymi uszami, ani żadnej rzeczy, które jego są. Poetyczne drgnienia podrywały mu pierś przepelnioną poezyą, a on nie miał co w nią oblec. Ostatnie dzioby gazowych lamp zakreślała bezlitośna ręka pachołka, a on jeszcze dumał. Nagle zerwał się, schwyił za czapkę i zbiegł po pustych schodach. Na skrzydłach głośnie fantazyi i zawiedzionych nadziei wpadł do Redakcyi i rzucił pierwszy frazes na papier: „Gwiazda pana Dobieckiego zgasła na chwilę! Resztę domyście się lub przeczytajcie, gdzie należy.”

Podobno pan Dobiecki, prezes komitetu zabaw, nie myśli oddać pomysłu tomboli w ręce pana Korpaczewskiego, przedsiębiorcy kantoru pogrzebów, i w ostatni wtorek zamierza jeszcze raz ołsnąć publiczność i napędzić dziadom z Tow. Dobroczynności poważniejszą ilość wdowiego grosza.

Trzynastoletni Rosenthal stanął przed tłumem publiczności w Resursie Obywatelskiej jako cudowne dziecko. Publiczność, sypnawszy rublami, nie pożałowała oklasków, — recenzenci, rozslawiwszy malca przed, padli na kolana po koncercie. Kilkunastoletnia praca Lisztów, Rubinsztejnów, Tausigów lub Bühlówów zmalała do minimum w obec rezultatów, jakie osiągnął Rosenthal w kolebce życia. Śmieszne to, ale

Głównym tematem prawodawczej biesiady było — załatwić uregulowanie granic i Radzie Nieustającej ster państwa powierzyć. Pierwsza połowa planu, jako bezpośrednie następstwo podziału, z którym się już dostatecznie oswojono, nie przedstawiała żadnych prawie trudności: była to, rzecz można, kwestya ogólna, a o ile nieunikniona, o tyle i obojętna; wzmożenie się natomiast Rady, jako pomysłu, zaczepiającego o rozliczne prywatne i stanowe interesy, o nerw ustroju republikańskiego, musiało, mimo pewności chwilowego zwycięstwa, wytrzymać walkę z przeciwnymi prądami w poselskiej i senatorskiej izbie.

Pomówmy tymczasem o sprawie granicznej, którą sprzymierzone stany rozstrzygały równolegle z kwestją sądów sejmowych, Rady Nieustającej, kodeksu, podatków i zażeń na wyznaczone w r. 1775 komisye.

Na 6-tym posiedzeniu, d. 2 września, gdy już republikański dano do zgryzienia pierwszy twardej orzech, w postaci projektu zależnych od Rady sądów sejmowych, kanclerz Młodziejowski, przypisując się do zdań, które przemawiały za rozrządzeniem rzeczoności planu na sesjach prowincjonalnych, nowy niespodzianie rydwanowi konfederacyjnemu nadaje obrót; ostrzegłszy bowiem izbę, iż należy oszczędzać czasu, uprasza, aby przytomny na obradach Gurowski m. n. l. „demarkator do rozgraniczenia Rzplitej z Rosyją” zdał przedewszystkiem sprawę ze spełnionych już czynności. Osobistość występującego teraz na widownię sejmową marszałka n. lit., który był jedną z pomocniczych sprzężyn w r. 1775, a następnie czynnym agentem partji królewskiej w Wielkopolsce, w ten sposób odrysowały wspomniane już przez nas Zagadki:

„Przyjemną głowę zdoła peruka, —
W ręku zaś laska rangę oznacza;
Wszyscy go stronią, chociaż nie fuka...”

Miał to być, jak utrzymują wiarogodne społeczne świadectwa, człowiek chytry — nie bez zdolności. Na naszym sejmie odgrywa on sztywną rolę głuchego na przymówki i postronne pociski ministra.

Po Gurowskim wystąpił kolejno z rzeczą dla niego pochwalną, obecny w izbie poselskiej podkomorzy, Stefan Dominik Romer, a po nim zabrał głos, odznaczający się większą niż poprzednicy barwistością przekonania, Andrzej Ogiński marsz. konf. lit. — Mówca ten, biorąc pohop ze sprawy demar-

kacyjnej, wkracza śmiało na rozleglejsze dziejowo-państwowe pole: jedną ręką sięga w przeszłość, drugą widoki przyszłości odkrywa. „Nie tajno jest (powiada), jako od lat dawnych przez długoletnie, obce i wewnętrzne wojny przytłumiona edukacja i formowanie serc a umysłów obywatelskich — popyły obyczaj, a te osłabiły sprzężyny rządu i sforności. Nie tajno, że stąd wyniknęło, iż to tylko mniemaliśmy być dobrem powszechnem, co zdaniem szczególnem przez osobiste względy udecydowaliśmy. Nie tajno, że ztąd wyniknęło zbieranie partji, gromadzenia osób, któreby jurarent in verba magistri...”

Zdania powyższe, wyrzeczone publicznie sto lat temu, czynią zaszczyt autorowi i każą go pomieścić w pierwszym szeregu ówczesnych polskich luminarzy. Jako polityk, Andrzej Ogiński należał bezwzględnie do monarchicznego stronnictwa. Kanclerz w. k. uznał za konieczną potrzebę niezwłocznie projekt ratyfikacji podpisać. Król zdanie to gorąco poparł, a marszałek konf. kor. zapytał po trzykroć o zgodę, która niebawem nastąpiła. Konstytucya z r. 1776 (których nie należy brać za jedno z *dyaryuszem*) opisują tę sejmową uchwałę w sposób następujący: „Ponieważ przez relacyę, uczynioną nam królowi i stanom skonfederowanym od komisarzów, naznaczonych podług konstytucyi 1775 r. do rozgraniczenia z dworem rosyjskim i przez potwierdzenie ich dzieła od Rady przy boku naszym Nieustającej, mamy dokładną wiadomość, iż to rozgraniczenie stało się podług traktatu cesy 1773 r.; ale że jednak rzecz cała podług tegoż prawa do decyzji finalnej plenorum ordinum Rzplitej jest zostawiona, więc my, król, za zgodą powszechną stanów, przyjęte i podpisane rozgraniczenie ratyfikować i takową ratyfikacyę w czasie niedziel sześciu, tembardziej, że już używamy wzajemnych korzyści z traktatu handlowego pożytecznego obojgu krajom, zamieniać moc zupełną mieć będziemy, a potem słupy graniczne ze strony krajów Rzplitej będą ustanowione naprzeciwko tych, które już ze strony Rosyi są wystawione”.

Trudniej o wiele było załatwić sprawę graniczną z austryackim i pruskim dworem. Na 12-tym posiedzeniu (9 września) Kanclerz w. k. wygłosił obszerną chryję o negocyacji z gabinetem wiedeńskim, przyjąwszy za godło uświęcone zdanie: „patres nostri peccaverunt et nos jugum ipsorum portamus”. Była tam mowa: o popełnionej przez

dypłomatów naszych omyłce geograficznej w nazwaniu Podhorcem rzeki Seretu i o zabranii wskutek tego kraju między Seretem a Zbruczem; o nadużyciach wogóle wiedeńskich, które jednak, porównane z berlińskimi, mały; o ustąpieniu Polsce przez Cesarzową miasta Kazimierza za cenę kępy na Wiśle; o dobroczynnem wreszcie orędownictwie Imperatorowej rosyjskiej. Projekt ratyfikacji wzięty został *ad deliberandum* (do namysłu). Następnego dnia doradzali zwłokę: książę Sanguszkowski woj. wołyński i Hryniewiecki kasztelan kamieniecki; nikt jednakże nie odznaczył się tak godnym narodowca i żołnierza zapalem, jak Jan Aleksander Kraszewski, generał w. k. a poseł kujawski. Szkoda tylko, że z grzmiącej jego filipiki przeciw „starszym braciom” ani jednego ustępu przytoczył na teraz nie jesteśmy wstanie, — a prawie każdy mógłby służyć za dowód, że p. J. I. K. (w *Polsce w cz. 3-ch rozb.*) niesłusznie walecznego imiennika czy przodka o brak mowczej zdolności posądza. Rzecz ta, wraz z kilku innymi, musiała nawet dodać otuchy przeciwnemu obozowi, który powziął może nadzieję wytargowania jakiejś piędzi ziemi od dworu wiedeńskiego; bo na sesyi 14-tej Marszałek konf. kor. robi dobitną uwagę: „że kto zrywa negocyacyę, daje drugiej stronie prawo zerwania onej, co zawsze kończy się ze szkodą dla słabszych”. Za zdaniem więc Aug. Sułkowskiego moc ratyfikacji traktatu jednomyślnie na tem posiedzeniu powierzono królowi. Wzmiankowane *Konstytucye* opisują daną uchwałę w podobny, jak i poprzednią, sposób — z tą wszelako różnicą, że tam była mowa o *spełnionym* fakcie, tu zaś, iż rozgraniczenie przez wzajemne ustępstwa różnych miejsc i części kraju *postanowione* dopiero zostało.

Ostatni akt granicznego dramatu odegrany został w dniu 25 i 27 września. Kanclerz w. k. przedstawił znów z urzędu projekt ratyfikacji układów z królem pruskim. Dzieje sprawy były w części powtórzeniem, w części stopniowaniem tego, co się dawało widzieć przy załatwianiu traktatu z Wiedniem. Doszło tu do tego, że wielki potomek hołdo wników nie wahał się nad traktat z r. 1773 — „sześć razy granic swych poprawić”. Porozumienie nastąpić niby zrazu nie mogło, z powodu różnych wykładów ugody. Wyznaczono więc w 1775 r. z ramienia Rady i za wolą stanów kilku komisarzów (Mł-

prawdziwie; szkoda jednak, że to tylko na podstawie orzeczeń naszych uniwersalnych krytyków. Wobec wymagań bowiem sztuki, Rosenthal na dziś jest dzieckiem talentu, dzieckiem, z którego olbrzymia, jak zwykle, praca zrobić dopiero może wybitnego wirtuoza fortepianu. Jego siła jest siłą wymęczoną i sztuczną, a lekkość i owa powiewność jest naturalną cechą gry dziecka, które, latając nogami po klawiaturze, jeszcze wydobywałoby z fortepianu tony lekkie i powiewne. To, co on umie dzisiaj, jest niezem więcej, jak figielkami wirtuozów, które przejął na początku nauki, nie przyswoiwszy sobie podstawy grania. W każdym jednak razie, jeżeli zawczesna eksploatacja i niewłaściwa krytyka nie zmarnują niezwykłych jego zdolności, Rosenthal za kilkanaście lat może się wyrobić na pierwszorzędnego wirtuoza.

Zanim postny sezon obdarzy nas powodzią koncertową, zaczynają już zjawiać się na muzycznym horyzoncie gwiazdy wędrowne, które darzą nas promieniami swego talentu. Wbrew przyjętemu zwyczajowi otrąbiania swej sławy przez reklamę, wionoczelista p. Grützmacher wystąpił z koncertem w sali Teatru Wielkiego i dowiódł, że jakkolwiek nie posiada w swym talencie siły, która elektryzuje tłumy, to jednak posiada te wy-

sokie przymioty, które nakazują szacunek i uznanie poważniejszych miłośników sztuki. Gra jego nie porywa potęgą tonu, nie stara się osłodzić kaskadą błyskotliwych efekcików, ale ujmuje niepokalaną czystością intonacji, oraz szlachetnym i skończonym artyzmem wykonania. Najpiękniejszymi numerami programu był koncert Raffi, oraz largo Mozarta, w którym artysta wykazał niepospolicie piękną śpiewność.

Filantropia już się krząta na wszystkie strony, aby wszelkimi możliwymi sposobami przypuścić szturm do względów i portmonetek publiczności. Wśród czeredy jednak koncertów i odczytów, które w imię filantropii będą uszczęśliwiał publiczność naszą, poczytujemy sobie za obowiązek odznaczyć jeden z nich i polecić go poparciu inteligencji naszej. Jest to koncert na dochód niezamierzonych uczniów gimnazyalnych, mający się odbyć wkrótce pod dyrekcją pana Müncheimera. Gdy na korzyść studentów uniwersytetu płyną dość liczne ofiary, filantropia publiczna niedosyć pamięta o tych biednych malcach, którzy nieraz, walcząc w dzieciństwie z ciężką nędzą, zdobywają sobie pierwsze podstawy przyszłego wykształcenia. Niejedna z mniej zamożnych rodzin, wiemy to dobrze, odmawia sobie nieraz najkonieczniejszych potrzeb życia,

aby tylko zapewnić swym dzieciom naukę, która ma stanowić jedyną częstą ich dźwignię życiową w przyszłości. Ilekroć to leż gorzkich, ileż to trudów a nieraz i upokorzeń poniesie biedna wdowa, pragnąca ochronić swego syna od ostatniej plagi nieuctwa, a ile razy, pomimo najlepszych chęci, pomimo trudów i usiłowań, wyrzec się musi swych nadziei, zwalczona brzemieniem losu, który tak często uciska jednostki, jako ofiary klęsk społecznych!

„Czapka na bakier i... niech was dyabli wezmą!” Oto zbyt dosadna może ale wierna charakterystyka werwy komicznej jednego z naszych bawicielei. Pisarz dla konceptu i facecyi, zabawny pomimo swej płytkości, gdy myśli tylko o śmiechu i pustocie, ciasny i nielogiczny, gdy rzuca się w sferę tendencji społecznej, młody Fredro jednakże wyróżni się wśród komediopisarzów naszych swobodą i łatwością tworzenia. Nie pisze komedii dla tego, że się uwziął być głównym przez scenę, ale dla tego, że tak mu się podoba i kwita; nie sili się, aby wymyślić jaką mądrą bajkę do sztuki, gdyż pierwsza lepsza zręczna facecya lub zabawne głupstwko wybornie mu posłuży w tym celu. Tematem naprzykład do najnowszej farsy, przedstawionej przez amatorów w teatryku Dobroczynności, są kłopoty zamilowa-

KRONIKA PARYZKA.

dziejowskiego, Michała Radziwiła, Fr. Rzewuskiego, Aug. Sułkowskiego, Hyac. Ogrodzkiego), którzy porozumiewszy się z pełnomocnikiem pruskim hr. Gedeonem Benoit, ułożyli odpowiednią „konwencję”. „Indziernierowie” (sic!) tedy nasi, z generałem Radońskim na czele, przybyli na umówione miejsce w oznaczonym czasie, w celu zobopólnego z komisarzami pruskimi wytknięcia granic. Zawiedzeni jednak zostali, nikogo się u kresów nie doczekawszy. Radoński odwołał się do Młodziejowskiego, a ten do Benoit'a, który oznajmił, że wytknięcie granic uprzedzić nie może ratyfikacji, oraz, iż król pruski chce mieć w tym względzie do czynienia z samym Stanisławem Augustem: jemu zatem nadewszystko stany pełnomocnictwo odpowiednie dać powinny. Godną wreszcie uwagi jest i ta okoliczność, że przecięcie ustawicznych zaborów nad zakres umowy wraz z objawem chęci traktowania ostatecznego z Rzplią — nastąpiły dopiero, jako łaska, a nadzwyczajne ze strony Fryderyka W. ustępstwo — za szczególnem wdaniem się Imperatorowej i przykładem dworu wiedeńskiego.

Gdy we dwa dni potem marszałek konf. kor. zapytał trzykrotnie, czy jest zgoda na ratyfikację projektu z dworem berlińskim, cała izba za pierwszym i za drugim głosem w milczeniu zostawała, i dopiero za trzecim kilku odezwało się *zgoda!* Na tej zasadzie deputowani przystąpili do podpisania projektu.

Sprawa więc demarkacyjna z dworem Petersburskim załatwioną już została w r. 1776 *na gruncie*, z wiedeńskim zaś i berlińskim tylko *na papierze*.

Jaka była rozległość odciętego od Rzeczypospolitej kraju, dyaryusz nie wskazuje. Spotykamy w nim tylko, obok innych dokumentów, bardzo szczegółowe spisy miast i włości nadgranicznych. Inne źródła mówią o tem w sposób mniej lub więcej przypuszczalny; nie nasza jednak rzecz w tej chwili się nimi zajmować. Według ostatnich zaś obliczeń, jakich możliwie dokładną próbę podał p. Korzon w art. „Stan ekonomiczny Polski od r. 1782 do 1799” (*Ateneum* 1877), dział rosyjski wynosił ostatecznie mil kw. 1692¹⁸²¹; dział austriacki 1508¹⁷⁵¹; dział pruski 660¹⁸³⁹; wszystkie razem 3861¹⁹⁶¹. Obszar zatem pozostałości wraz z lennem księstwem Kurlandzkim dochodził jeszcze niespełna do 10 tysięcy mil kwadratowych.

(D. c. n.)

W zwyczajnym stanie rzeczy, gdy żadna chmura nie czernieje na widnokręgu, żaden zdradliwy powiew wiatru nie zwiastuje zbliżającej się burzy, a życie narodu płynie spokojną jednostajną falą, pora noworoczna jest peryodem przyspieszonej pracy, momentem gorączkowym, w którym cała pracująca ludność Paryża wysila się na nowe pomysły, ulepszenia i wynalazki, aby z niemi wystąpić do popisu, zdobyć zwycięzką palmę na noworocznej wystawie. Gorący zapal ożywia wszystkich zarówno, milionowego przemysłowca jak i uboższy robotnika, który na poddaszu obarczony rodziną, często w chłodzie i głodzie nad jakimi wynalazkami pracuje, przy blasku tej cudownej lampy, która się nadzieją nazywa.

Ciągłe ulepszenie, doskonalenie, wynajdywanie nowości jest istotnie cechą główną francuzkiego w ogóle, a zwłaszcza też paryzkiego przemysłu. Ale też trzeba wiedzieć, iż nowość nigdzie tak nie popłaca, nigdzie tak hojnie wynagradzana nie bywa. Rutyna nie daje tu chleba; kto zatrzymuje się na miejscu, ten ginie pod stopami tłumy, co wyrwa się w przyszłość zawsze naprzód i naprzód.

To szukanie, to wynajdywanie nowości odnosi się do wszystkich, najróżnorodniejszych gałęzi produkcji, ogarnia przemysł, handel, literaturę i sztukę, obejmuje cały niezmierny horyzont ludzkiej twórczości i jest zarazem tajemniczą przyczyną i usprawiedliwieniem owej supremacji, którą Francya pomimo chwilowych klęsk i gwałtownych wstrząśnień na całą ludzkość wywiera.

Wynaleźć coś nowego, — to znaleźć często sławę a prawie zawsze majątek. Wynaleźć fraszkę, choćby zabawkę dziecinną — to przecież toż samo, co wygrać los na loteryi. Wynalazca rozdzierającego uszy criteri w ciągu kilku miesięcy kilkadziesiąt tysięcy franków zarobił; wynalazca znanych baloników dla dzieci ogromną zebrał fortunę. Co za zachęta! jaki ponętny przykład, jaka ożywcza podnieta!

Cały też zwłaszcza drobny przemysł paryzki za zbliżaniem się nowego roku herculesowe czyni wysilenia, często na praw-

dziwie heroiczne zdobywa się ofiary, aby z czemś nowem wystąpić i prawo do ubiegania się o zwycięzki wawrzyn pozyskać. Nowy rok, to coś w rodzaju Olimpijskich igrzysk — arenę stanowią wspaniałe bulwary, przepasane podwójną jasną wstęgą zalotnie urządzonych kramików i kramów a dwumilionowa natłoczona ludność — to sądzący Areopag. Więc dalej do pracy, — niech mury fabryczne wesoło rozbrzmiewają ochoczym śpiewem robotników — niech żarzą się ogniska, niech wysmukłe kominy buchają kłębami dymu i hasło pracy pod obłoki roznoszą, niech od ciężkich wysilenń stękają maszyny, niech warczą warsztatowe koła, niech zgrzytają pilniki, szcękają młoty, niech dłuta ostre zadają razy, niech drobne igielki szybkie, jednostajne wydają błyski, niech od wspaniałego sklepu, co lustrzanemi szybami dumnie na ulicę spogląda, aż do niskiego i zimnego poddasza nikt nie zasypia, ręk nie zakłada, nie ustaje w pracy, nadziei nie traci. W latach pomyślności i spokoju pracująca ludność Paryża tem ożywczem hasłem witała zwykle nadchodzący rok nowy; praca poruszała wszystkich jak krew w żyłach człowieka, rozgrzewała całe to olbrzymie mrowisko i jak czarodziejska wróżka roznosiła wszędy nieoszacowane swe dary — dostatek, spokój i zadowolenie. Ale w roku świeżo poczętym stało się wszystko inaczej. Reakcyjna entrepriza szesnastego Maja zwichnęła normalny bieg narodowego życia, a połączone z nią chmury, gromadzące się na widnokręgu sąsiadów, i grzmiąca piorunami burza na Wschodzie — sparaliżowały przemysł i handel i widmem niedostatku zaciążyły nad Francją całą. Paryż szczególnie na tem ucierpiał i cierpi jeszcze dotychczas. Niedostatek wstępuje w progi tych, którzy szczuple tylko posiadali zasoby a nędza staje się udziałem całej klasy robotczej, dla której brak pracy jest zarazem i brakiem powszedniego chleba.

Cudzoziemcy poczytują ogólnie Paryż za stolicę mody, zabawy i zbytku; sądzą o nim z tego, co widzą na Włoskim lub Kapucyńskim bulwarze a złoty dom (*Maison dorée*) Ogród Mabilie i nowa Opera, kipiąca od złota, zdają się być charakterystycznymi jego cechami, najwyższą syntezą francuzkiej stolicy. Nie domyślają się oni wcale, że Paryż jest jednym z najpracowitszych miast w świecie i że bogactwa, pyszniące się dumnie na

nego w wygodkach p. Inickiego, którego trapi krótkowidz i szalapat Butowski, zamieniający mu nieustannie kalosze. Że zaś p. Inicki ma zasady, które w żaden sposób nie pozwalają mu chodzić w raz zamienionych kaloszach, przeto dostaje biedaczek kataru, kicha jak z moździerza i kupuje w przeciągu godziny kilka par tych nożnych futerałów. Wynikają ztąd pomiędzy tymi dwoma panami dość hałaśliwe zatargi, których rezultatem jest małżeństwo młodego szalaputa z powabną córeczką p. Inickiego. Jak się to skleiło — mniejsza o to, wszak nikt się nie troszczy zbytnio o posłubne losy farsowych małżeństw. To pewna, że wszystko to dzieje się wprawdzie dość głupio, ale zarazem i bardzo zabawnie. Nie śladując bynajmniej francuzkich farsów, autor posiada jednak ich zręczność w zgrabnem i zwawem przeprowadzeniu bladej treści, tak że słuchacz na razie oszołomiony nie może się zorientować, że go bawi takie bzdurstwo, a za zasługę mu przytem poczytać należy, że bynajmniej nie używa przytem drastycznych i niesmacznych przypraw, w których się lubują jego nadsekwańscy koleżkowie.

Farsę tę przedstawili amatorowie z zacięciem prawdziwie artystycznym. Pp. Piarowicz, Grzywiński i Sommer stanowili walną trójkę, która podobać by się mogła

niewątpliwie nawet na większej scenie, a pierwszy zwłaszcza zdobył się na stworzenie prawdziwie komicznego typu.

Drugą oryginalną nowością, przedstawioną przez amatorów, był dwuaktowy obrazek pani Maryi Brühl „Pocałowanie” napisany widocznie ad usum delphini dla amatorskiego kółka. Jest to utwór, który widoczną bezpretensjonalnością usuwa się z pod zarzutu krytyki literackiej, gdyż nie rości sobie żadnych przywilejów, mając na celu przyjemną i szlachetną rozrywkę w kółku rodzinnem.

Najmniej przyjemną częścią widowiska była meklemburskiego kalibru farsa niemiecka „Ślubna obrączka”. Pomysł jej naciągany, opracowanie w najwyższym stopniu nudne i niesmaczne, powiązane mdłą gadaniną.

Materyał do zagadki, co lepsze: taki rozum, czy takie sumienie? Czy więcej wart rozum, w którym mieści się trybunał do sądzienia wszystkiego, co w przestrzeni znaleźć się może, czy więcej warto sumienie, które do sądzienia wszystkiego czuje się upoważnionem? Do rzeczy. Dla wypełniania wszystkich kierunków nauki i sztuki natura musiała stworzyć miliony ludzi, geniuszów, talentów, zdolności — na ocenienie tego wszystkiego w pewnem naszym piśmie

dość jednego rozumu i sumienia pana B. Oto p. B. uczył nas dotąd śpiewu i gry na wszystkich możliwych instrumentach, magii, historii, psychologii, logiki, etyki, estetyki, prawa, ekonomii społecznej, w sprawozdaniach z koncertów, oper, dramatu, literatury filozoficznej, przedstawień czarodziejskich prac dziejowych i t. d. i t. d. Zdawało nam się, że już wiedza tego rogu obfitości się wyczerpała, gdy nagle ów p. B. występuje z oceną najspecyjalniejszego ze specjalistów, fizyologa Klaudyusza Bernarda. A jednak, czy uwierzysz czytelniku, że tak przyzwyczajaliśmy się do mądrości olimpijskiej *beti* i tak jesteśmy przekonani o nieszkodliwości jej dla nauki, że ani nas to zdziwiło ani oburzyło. Dopiero gdy p. B. z kolei swoich niezliczonych specjalności wystąpił gwałtownie przeciw reżyserji naszych teatrów z widoczną chęcią i możliwością szkolenia jej kierownikowi, zapytaliśmy naprzód siebie: dla czego to p. B. nie spożytkował swej teatralnej mądrości wtedy, gdy sam był reżyserem i dla czego z przyczyny niedołężnego kierownictwa był nim przestał? A teraz pytamy czytelników, co tu lepsze: rozum, czy sumienie? Podobno równowarte.

wspaniałych bulwarach, są niczem w porównaniu z nagromadzonemi w ciasnych i posępnych ulicach cyrkułu St. Denis, Marais i całej tej części miasta, która wieńcem pamiętny plac Bastylli obsiadła.

W stronie pól Elizejskich — ci co się bawią, w stronie Bastylli — ci co pracują, i jak robocze pszczoły niezmordowane w trudzie gromadzą owe niewyczerpane skarby, które budzą podziw całego świata. Uporczywa handlowa stagnacja ciężko obecnie dotyka pracującą ludność Paryża, ale Francuz nigdy nie traci humoru i byle czem jak dziecko zabawić się umie. Więc i tym razem noworoczne cacka i łamigłówki w zapomnienie nie poszły. Premium otrzymała w kształcie zagadki zrobiona rycina a dla zachowania tradycji nazwą „kwestyi kota” ochrzczona została. Musiał to być jednak nie kot ale kotka, bo wnet okociła się i licznem cieszy się obecnie potomstwem.

Po dziś dnia 122 rodzaje takich zagadkowych rycin znajduje się w obiegu; rzecz prosta, że ostatnie daleko już od pierwowzoru odbiegły, obecnie trzeba szukać nie kota ale kochanków, pestek melona, bonapartyistów i t. d. Najwyższem udoskonaleniem a zarazem i uproszczeniem tego pomysłu jest zupełnie czysta ówiartka papieru, lekko zagięta, na której zamiast rysunku jedna tylko podłużna kresa znajduje się. Napis powiada: „Szukaj ryby, czterech owoców i drzewa”. Pomimo pozornej trudności, nie ma już dziś dziecka w Paryżu, któreby nie umiało tej zagadki rozwiązać: każde z dumą powie, wskazując na kreskę (*la raie*), oto jest ryba (*la Raie*), na cztery rogi papieru (*les 4 coins*), oto cztery owoce (*les 4 coings*), wreszcie na małe zagięcie (*peuplier*) co stanowi drzewo (*peuplier*).

Widowiska wszelkiego rodzaju dobre robią interes; najlepsze jednak, bo prawdziwie złote robi pan Halanzier, dyrektor nowej Opery, każde bowiem przedstawienie, od 17,000 do 20,000 franków przynosi. Gdyby to było można, bez wahania zastąpiłbym pana Halanziera i rzekł się nawet owych dwukroć sto tysięcy franków, które jeszcze rząd tytułem subsydiów corocznie dopłaca.

Koncerta orkiestrowe coraz większe znajdują powodzenie. Mamy ich trzy obecnie, w każdą niedzielę, w Cyrku Zimowym pod dyrekcją Padeloup, w teatrze Chatelet, gdzie dyryguje Colonna i świeżo urządzony przez pana Crestonnoisa w teatrze Porte St. Martin — pomijam naturalnie mniejsze orkiestry, jako nieposiadające artystycznego znaczenia.

Symfonia Rubinstejna pod tytułem *Ocean*, grana już kilkakrotnie w Cyrku Zimowym, wielkie znajduje powodzenie. Z utworami tegoż mistrza obznajmia tutejszą publiczność współziomek nasz pan Lewita, fortepianista niepospolitego talentu; daje on w salach Pleyela co dwa tygodnie koncert zbiorowy, poświęcony wyłącznie wykonaniu duettów, triów i kwartetów. Udział w nich biorą: panna Tayan, laureatka tutejszego konserwatorium, na skrzypcach, pan Godard, biegły wirtuoz i utalentowany kompozytor, na altówce, a Hollmann na wiolonczeli. W programie dwóch pierwszych koncertów utwory Rubinstejna główne zajmowały miejsce, a wykonane były tak umiejętnie, z takim zrozumieniem rzeczy i precyzją, że prawdziwy zaszczyt kompozytorowi i egzekutorom przyniosły. Koncerta te pana Lewity zwróciły już na niego uwagę miłośników muzyki, a prasa tutejsza zasłużeniemi je pochwałami okryła.

Zwolennicy sztuki dramatycznej mieli również w tych czasach miłą niespodziankę: sławny artysta włoski Salvini dał w teatrze włoskim kilkanaście przedstawień, a występując w roli Otella, Hamleta i Macbetha, wyższym się jeszcze nad Rossiego pokazał. Gra jego głębsza, spokojniejsza,

więcej ma ścisłej psychologicznej prawdy, aniżeli gra pana Rossi, który zbyt wiele żywego, gestykulującego charakteru włoskiego zachował. Szczególniej wyższym się okazał Salvini w pojęciu roli Hamleta. Rossi chmurnemu królewiczowi duńskiemu zbyt heroicznie nadaje charakter; Salvini jest więcej nerwowym, melancholicznym a przez to samo więcej prawdziwym. Największe podziwienie obudził Salvini grą swoją w dramacie Giacomettego pod tytułem *Śmierć cywilna*, (*La Morte civile*). Dramat to, w rodzaju *Trzydziestu lat życia szulera*, od początku do końca straszny, bolesny rozdzierający. Dantejski napis nad bramami piekła ściśle do tego utworu zastosować można. Ale Salvini rolę bohatera dramatu w tak mistrzowski przedstawia sposób, że trudno nawet pomyśleć, aby sztuka oddania na scenie cierpień ludzkich wymowniejszego nadeń mogła znaleźć tłómacza. Pobyt dwóch tych znakomych artystów włoskich w Paryżu, Rossiego i Salviniego, zdaje się iż wywrze wpływ trwalszy, aniżeli chwilo- wy tylko zachwyt widzów. Dzięki im Théâtre français zamierza otworzyć, a raczej uchylić podwoje dla Shakespeara. W rzeczy samej, jakkolwiek temu prawie wierzyć trudno, pan Perrin, zdecydował się przedstawić na swojej scenie jeden akt Otella. Sympatyczna Sarah Pernhart ma wystąpić w roli Desdemony a Mounet Sully w roli gwałtownego murzyna. Co na to wtargnięcie barbarzyńców powiedzą prochy Kornela i Rasyne? bo o Moliera jesteśmy spokojni. Śmiać się on tak wybornie z głupstwa współczesnych, że nie zabraknie mu śmiechu i dla potomnych, którzy na geniuszu Shakespeara poznać się dotąd nie umieją. Teatr francuzki przez parafrazę nazywa się także domem Moliera, lub też Voltaire'a, którego wspaniała marmurowa statua foyer teatralne ozdabia. Genialnym stwórcą tej statuy jest Houdon; lecz mało kto wie, iż znajduje się inna statua Voltaire'a, dłuta sławnego rzeźbiarza Pigalle, a w gmachu Instytutu francuzkiego przechowana. W roku 1770 grono literackich znakomitości w Paryżu powzięło myśl uczczenia Voltaire'a marmurową statua, i pani de Necker zawiadomiła o tem sławnego filozofa, który przemieszkiwał w Ferney. Voltaire, jakkolwiek już zgrzybiały i ciężką kołatany chorobą, ze zwykłym sobie dowcipem odpowiedział pani de Necker, w ten sposób: „Słyszna skromność i rozum mój kazaly mi myśleć, że projekt posągu jest tylko po prostu żartem: ale ponieważ rzecz się ma seryo, pozwól więc pani, abym jej seryo odpowiedział. Mam lat 76 i wstaję zaledwie z ciężkiej choroby, która przez sześć tygodni bardzo wycieńczyła zarówno moje ciało jak duszę. Pan Pigalle, powiadają, ma przybyć do mnie, aby zdjąć model mej twarzy, alez pani, trzeba na to koniecznie, abym twarz posiadał. Dziś zaledwie domyślić się można, gdzie była: oczy moje wpadły na trzy palce; policzki jak stary pergamin, źle przyklejony do kości, które niewiadomo na czem się trzymają; reszta moich zębów opuściła mnie. Chciej pani wierzyć, iż nie mówię tego przez kokieterę, jest to najczystsza prawda. Nigdy nie rzeźbiono biednego człowieka w takim stanie. Pan Pigalle pomyśli że drwią sobie z niego: a ja przez miłość własną ukazać się mu nie odważę”. Pigalle nie przeraził się tym stanem Voltaire'a, przybył do Ferney, a gdy instrumenta rzeźbiarskie rozłożył, strach wielki powstał pomiędzy służbą, przekonaną, że ten przybysz przyjechał krając żywcem ich pana. Rzecz dziwna — nadzwyczajna chudość Voltaire'a zachwyciła sławnego rzeźbiarza, podała mu albowiem myśl nietylko odtworzenia postaci wielkiego filozofa, ale zrobienia zarazem anatomicznego studyum. Pomimo wszelkich napomnień, uparty artysta myśl swą wyko-

nał i przedstawił Voltaire'a nago, siedzącego na odłamie skały z księgą i piórem w ręku. Trudno było ukazywać na widok publiczny dziwaczny ten posąg: ztąd też kilka lat później nową statua sławny Houdon wykonał. W pierwszych latach, przyozdabiała ona przedsionek francuzkiego teatru; Houdon, który pod koniec swego życia miał umysł nieco obłąkany, wszedł pewnego razu do teatru: kontroler widząc, że nie ma biletu, zapytuje: „Kto pan jesteś?” „Kto jestem? — z dumą odpowiada artysta — jestem ojcem tego człowieka”. To mówiąc, wskazuje na posąg. Naiwny kontroler, wzięwszy te słowa w ich literalnym znaczeniu, zawołał na służbę: „Wpuście tego pana, to jest ojciec Voltaire'a!”

Zbliżająca się stuletnia rocznica śmierci filozofa z Ferney pada sposobność licznym jego zwolennikom we Francji do urządzenia anti-klerykałnej manifestacyi. Wywołała to straszna dziennikarska burza, a Ludwik Veuillot, na wzór Wirgiliuszowego Neptuna, chwyci za trójzębne pióro i wzburzone fale uśmierzać zapragnie. Strach pomyśleć, ile to nowych ulepszonych piorunów na głowę Voltaire'a się zwali! Nasz wiek tak jednakże zepsuty, że z pewnością na prawowierne przekleństwa nie zwróci uwagi, a Voltaire w jego oczach i nadal genialnym obrońcą swobody myśli pozostanie.

Co chcecie! ludzkość wzięła na kiel i na dzieciennym, chociaż poświęcanym pasku chodzić już nie chce. Ze się na to zżymają piastunki, dziwić się zaiste nie można.

Kary jako środek pedagogiczny.

„Zakład naukowy, do którego, przypuszcmy, stu uczniów uczęszcza, bez groźby kary fizycznej (a taką jest ostatecznie wszelka kara) dłużej nad dni parę istniećby nie mógł”. W ten sposób decyduje pytanie o rygorze szkolnym pan Adam Niemira w 51 numerze *Przeгляdu Tygodniowego* (rok 1877), w artykule: *W sprawie rygoru szkolnego*. Przeczytanie powyższego ustępu zwróciło moją uwagę z powodu uderzającego podobieństwa tego wyroku do znanego wyrażenia Voltaire'a. Wolnomyślny Bayle zadał sam sobie kiedyś pytanie: czy może istnieć państwo ateuszów? Na to pytanie, zawsze dowcipny, Voltaire odpowiedział: „Gdyby Bayle został zmuszony rządzić tylko pięciu lub sześciu stami włościan, niechybnie musiałby kazać o karzącym Bogu”. Nie podobna nie zauważyć podobieństwa zdania p. Niemiry i Voltaire'a. Pomimo wszakże to, ani jedno, ani drugie zdanie nie jest słuszne. Można być moralnym bez względu na to nawet, że taką jest wola Boga, może też istnieć szkoła i nietylko istnieć, ale kwitnąć bez udziału w jej istnieniu i działalności kar fizycznych.

Podnoszę swój głos, ażeby przyczynić się, o ile mogę, do ustalenia i rozszerzenia przekonania, iż fizyczne kary w ogóle — że już przemilczę przez szacunek, jaki mam do moich czytelników, o różdże — są dzikiem barbarzyństwem, krzywdzącem zarówno karanych, jak i karzących w jednakowym zupełnie stopniu. Zanim wszakże złożę dowody na poparcie mojego zdania, muszę zwrócić uwagę czytelnika na pewną, bardzo w mojem przekonaniu ważną okoliczność. Wiadomą jest rzeczą, że odkąd świat istnieje, zbrodnie i występki są karane przez sądy, że dawniej kary kryminalne były okropnie srogie i przerażające, jak np. tortury, wbijanie na pal, wybijanie oczów, darcie pasów, ćwierutowanie, wieszanie i w ogóle kara śmierci w najrozmaitszych i jedna od drugiej okropniejszych postaciach, jak np. wieszanie głową do dołu, przybijanie do

krzyża, palenie na stosie, topienie w worku razem z dzikimi zwierzętami, śmierć głodowa, ścięcie głowy — albo wreszcie wyrafinowane kary, jak odrywanie nosa, wrywanie zębów, gorące krzesła i t. d., i t. d. bez końca. Bo czegoż nie wymyślił umysł ludzki, ażeby *sprawiedliwie* ukarać zbrodniarza! A jednak ludzie do dziś dnia, ciągle, bezustanku, w pewnym procencie względnie do całości pełnią dalej zbrodnie, zostają karani mniej więcej srogo, a często nawet po ukaraniu znów powtórnie i jeszcze dalej wykraczają przeciwko prawu moralności, obyczajom lub religii. Jeżeli kara jest środkiem wychowawczym, wpływ jej powinien byłby zmniejszyć ilość występków. Czy zmniejszył — rzecz to wątpliwa. Oczywiście tedy, że kara jako środek wychowawczy w ogóle jest złą, a raczej niema zupełnie tych cech, które jej ludzie przypisują i na przekór oczywistości widzą.

Jeżeli człowiek kradnie z głodu, trzeba przypuścić, że gdyby nie był głodny, toby nie ukradł. Jeżeli postępuje niemoralnie, oczywiście nie musi być moralny, a że nikt sam przy urodzeniu swoim nie jest w stanie zdecydować się być dobrym lub złym, ponieważ rodzi się nijakim, to jest ani dobrym, ani złym, a staje się takim lub owakim w skutek wpływu nań okoliczności życia, trudno więc utrzymywać, że człowieka niemoralnego trzeba karać za to, że popełnił pewien czyn niezgodny z moralnością, której nie ma i mieć nie może. Logika, a zatem i sprawiedliwość każe nam rozważyć pierwiej przyczyny wszystkie, t. j. pośrednie i bezpośrednie, blizkie i dalsze, a nawet najdalsze, jakie niechybnie musiały wpłynąć na postępek, albowiem wszystko ma pewne przyczyny, a ztąd i postęпки człowieka muszą je mieć także, a dopiero później wyrokować o tem, jak jest wielka lub mała wina człowieka. Gdybyśmy poznali dobrze i gruntownie przyczyny, które wpływają na występki, przyszlibyśmy do przekonania, że im kara w ogóle jest sroższą tem jest niesprawiedliwszą. O ile te przyczyny, wpływające na występki, są silne, widać to ztąd, że Chrystus nawet radził uciekać się do pomocy Boga, ażeby nas nie wodził na pokuszenie.

Niejednym z czytelników moich, pomyślawszy dobrze o tem, co powiedziałem, zgodzi się zapewne ze mną w zasadzie, wszakże w pewnym danym wypadku, np. jakiegoś okropnego występku, zapomni zupełnie o zasadach, głosując za ówiartowaniem, wbijaniem na pal i t. d. Będzie to tylko dowodem jego niekonsekwentności. Jeżeli pewna prawda jest prawdą, trudno przypuścić, żeby nią była czas jakiś, później być przestała na chwilę, a następnie znnowu na prawdę się zamieniła. Wołające o pomstę występki, t. j. raczej tak zwane wołające o pomstę, są tylko bardziej rażącymi występkami. W samej rzeczy, czy nie jest to wszystko jedno, jeżeli zabójca uderzy swą ofiarę raz jeden, czy też sto razy nożem, czy zabiwszy ją, kraje na kawałki i rozrzuca daleko, lub zaś wrzuca do wody, nie krając, albo wreszcie zakopuje. I tak i owak spełnia zabójstwo. Dla czegoż zadanie rany uważamy za występki mniejszy od dokonanego już mordu, wszak rana ta wypadkowo tylko nie stała się przyczyną śmierci; — bo gdyby np. była zadana niżej lub wyżej, trochę na prawo albo na lewo, mogłaby pociągnąć natychmiastową śmierć. Podniesienie noża bez zadania ciosu uważamy za mniej występne od zranienia, a obicie kijem za mniej ważny występki od machania nożem. Przecież ten kij, gdyby spadł na głowę, mógłby zadać cios śmiertelny. Słowem w całym tym szeregu zepsucie i niemoralność zbrodniarza może być zupełnie jednakową, choć zbrodnica podobnie, sądźmy tedy ze skutków i za skutki. Jest to bardzo niebezpieczne.

Rozgniewany rzucam na kogoś popiołem, chcąc go obrazić i, o zgrozo! obrażony pada trupem. W popiele byłikamyk, kamyk ugodził w skroń, nastąpiła śmierć. Przykłady te uczą, że trzeba być bardzo ostrożnym i nie dawać się uwodzić pozorom w tak ważnej kwestyi, a szczególnie dawać się opanowywać uczuciom zemsty, oburzenia, uniesienia. Sędzią może być tylko spokój i rozum.

Rozszerzyłem cokolwiek swoje uwagi, chodzi mi bowiem o zasadę. Jeszcze jedna cecha kary. Niewątpliwie, że się jej ludzie boją. Kto może znajdować przyjemność być ukaranym? Ztąd też każdy starać się będzie jej uniknąć. Prowadzi to do tego, że zbrodnie wykonywują się z większą przebiegłością i potajemnie. Chodzi bowiem głównie o to, ażeby się nikt o niej nie dowiedział. Ztąd logika kary w umyśle zbrodniarza budzi podobną argumentację: „Można robić źle, byle potajemnie”. Każdy się z tem zgodzi. A więc kara nie może wpływać na pobudki występków, t. j. na przyczyny. Gdyby szkołą moralności były tylko kary, a nie co innego, ludzie wszyscy musieliby być złymi. Przykład kary budzi przerażenie i — może być nawet — zmusza być dobrym, ale tylko powierzchownie, t. j. tylko formalnie. W przekonaniu zwolenników kary, jest ona środkiem najlepszym ku usunięciu występków, ku ich zniszczeniu, ku wytępieniu przyczyn wykroczeń, — w istocie rzeczy psuje ona ludzi, ucząc ich pełnić zdróżności przebiegle i o ile można bardziej potajemnie. Oprócz tego wpływa ona najgubniej na charakter ukaranego. Poczucie osobistej godności nie jest rzeczą tak małej wagi, ażeby je traktować z lekka i z góry. Wyobraźmy sobie tylko ludzi, niedbających zupełnie o osobistą swą godność, wyobraźmy wszystkie podobnego stanu społecznego następstwa, a przekonamy się, że podnoszenie godności jednostek, że podtrzymywanie tej godności, a nie odejmowanie jej, jest jednym z poważniejszych zadań społecznych. Czy moralność jednostek nie zależy od tego, że ludzie dbają w wysokim stopniu o opinie, o swe dobre imię, o honor o godność własną? Uczucie wstydu jest jednym z potężnych społecznych i moralnych czynników. Ztąd kary, znieważające osobistą godność, mogą wpływać tylko zgubnie na normalność społeczną wogóle, że już przemilczę o demoralizacyjnym ich wpływie na ukaranego.

Przejdźmy teraz do kar w pedagogice. Rzecz pewna, że człowiek wielki i mały są przedewszystkiem ludźmi, różniącymi się tylko wiekiem, a następnie wrażliwością. Nikt tak boleśnie i dotkliwie nie czuje krzywdy, jak dziecię. Nikogo więcej nad dziecię nie oburza kara i nikt też jej dłużej nie pamięta. Ztąd wszystko złe, jakie tylko mieści w sobie kara, największy wpływ wywiera na dzieci, t. j. największy wpływ wywiera w dzieciennym wieku. Zwolennicy metody karania mogą skorzystać z mego wyznania i, opierając się na niem, dowodzić, iż jeżeli kara istotnie tak potężny wpływ wywiera na dzieci, a więc właśnie dla tego należy je karać. Nie wątpię, że tego rodzaju uwaga przyjdzie na myśl niejednemu z moich czytelników; to też, przewidując podobne uwagi, radzę oponentom przypomnieć sobie, com przed chwilą o zaletach kary powiedział. Jeżeli jest ona złą i szkodliwą w ogóle, a więc tem gorszą i szkodliwszą być musi w zastosowaniu do dzieci, psując je najokropniej, a przytem nie do poprawienia, bo, jakeśmy to już widzieli, prowadzi do skrytości, do powierzchownej układności, oddziaływa najgubniej na poczucie osobistej godności, zasiewa uczucia nienawiści do karzących, pobudza do zemsty.

Zwróćmy się do wypadków, w razie których pewna szkoła pedagogów radzi ucie-

kać się do kary. „Dziecko to jest zepsute, jest szkodliwe, jest niepostuszne, kłanbrne, zuchwałe. Słowa nie pomagają. Charakter jego jest nieznośny. Trzeba się uciec do kary”. Rozważmy teraz dobrze, o co chodzi. Dziecię jest zepsute. Bardzo dobrze. Czy się takim już urodziło? Samo pytanie brzmi nie-dorzecznie. Czy podobna przypuścić, ażeby się ktoś mógł urodzić zepsutym? Rozumie się, nie. A więc, jeżeli dziecię jest zepsute, musiano je zepsuć. Kto temu winien? Po części rodzice, po części całe społeczeństwo. Głównie żywe przykłady. Rodzice uczą je postępować — w ich przekonaniu — dobrze, sami zaś postępują źle. To samo i inni. Przykład starszych, którzy mówią jedno, robią zaś drugie, czyż nie jest dostatecznym, ażeby zepsuć dziecię? Nie można kłamać — mówi ktoś, a sam w tej chwili w obec dziecka kłamie. Wniosek ztąd taki: kłamać można, ale zgrabnie i naturalnie, nie przyznając się do tego. I tak dalej. Przykład rodziców zgubny i szkodliwy zależy od tego, iż rodzice nigdy prawie nie są przygotowani do swej działalności. Ażeby zostać ojcem lub matką, nie dość być tylko mężczyzną lub kobietą, trzeba jeszcze — oprócz tego — mieć jakie takie przynajmniej wyobrażenie o swem rodzicielskiem zadaniu. Nic temu nie sprzyja. Herbert Spencer, mówiąc o społecznym wychowaniu i wykształceniu, powiada, że przyszły historyk, rozpatrzywszy nasze szkolne kursa, przyjdzie do przekonania, iż programy szkół naszych służyły nauczycielom mnichów lub mniszek, którzy ślubowali czystość, a więc wcale nie myśleli o wychowaniu dzieci. Uczymy się artmetyki, gramatyki, geografii, historii, literatury, fizyki i t. p., a o psychologii nigdzie wzmianki. Boć na prawdę, na co się ona może przydać mnichowi? Wszyscy w ogóle są tego przekonania, że najgorszy charakter jest wprost złym charakterem, ot tak sobie, bez żadnych przyczyn, a żeby go poprawić, trzeba tylko kija, zupełnie tak, jak dla wyprostowania skrzywionego ęwieka trzeba użyć młotka, a ęwiek stanie się prostym. *Argumentum baculinum*, dobre i skuteczne dla podków, pospolicie jest uważane za pożyteczne i skuteczne dla poprawienia charakteru. Nikt przecie z tych pedagogów — mechaników nie pomyśli o tem, że nie tylko ludzki charakter, ale nawet rośliny nie można prostować młotkiem. Działanie na charakter kijem jest w swoim rodzaju walką Don Quichota z wiatrakami, czemś podobnem do zamawiania bólu zębów lub do rozpędzania piorunów przy pomocy wyrzuconej na deszcz kociuby. Jest to mniej więcej ta sama kategoria zjawisk — ratowanie umarłego kadzidłem.

Charakter jest przeciętną pewnych przyzwyczajęń, jest pewną stałością postępów wobec najrozmaitszych okoliczności życia. Dyscyplina następstw jest najlepszym środkiem wytworzenia się dobrego charakteru. Skutki postępów prędko się czuć dają, one to są najwyborniejszą szkołą charakteru. Człowiek dorosły, jeżeli zbłądzi raz drugi, zaraz to odczuje. Kto nie umie żyć oszczędnie, wkrótce nie będzie miał zupełnie z czego żyć. Rozrzutny, marnotrawny odbiorą prędko lekcję za swe błędy. Pozostawmy dzieci naturalnym następstwom ich czynności, a wpłynie to najlepiej na ich charakter. Zapewne, zasada ta w pewnych wypadkach może się nie da zastosować; zdarzyć się może, że dziecię, pozostawione tym naturalnym następstwom swych postępów, stracić może życie, np. wyłączenie przez okno z trzeciego piętra, wyłączenie na drzewo lub dach i t. p. Wypadki te wszakże, jako nadzwyczajne, a zatem jako sposoby postępowania mniej więcej rzadkie, mogą być obmyślane w każdym danym razie. Wypadki zaś zwykłe, t. j. nie grożące

dziecku śmiercią, ale bolem lub nieprzyjemnością, doskonale się stosują do wskazówek powyższych. Każdy się zgodzi, że trzeba się kiedyś raz sparzyć ogniem, ażeby wiedzieć, że się do rąk ognia nie bierze. Zamiast tedy wojny, jeżeli dziecko gwałtem chce ująć w ręce przedmiot, który może je sparzyć, trzeba mu pozwolić dogodzić raz chęci, ażeby później, raz się sparzywszy na gorącym, na zimne dmuchało. Następnie np. prawda ta, że kto nie szanuje obuwia, powinien chodzić boso, może być zrozumiana i zapamiętana przy pomocy pozostawienia dziecka naturalnym następstwom jego nieostrożności. Nauki teoretyczne powinny być wykładane, o ile można, więcej pogładowo, nauki moralne, o ile można, więcej praktycznie; gdyby bowiem kazania wpływały w sposób stanowczy na moralność i charakter, wszyscy ludzie byłiby święci, a że tak nie jest, widocznie więc kazania same przez się nie są w stanie poprawiać ludzi. Niedarmo też praktyki moralne nazywamy *ćwiczeniem się* w dobrych uczynkach. Wyrażenie to nietylko jest przenośnią, ale zarazem i literalnym określeniem procesu powstawania pewnego przyzwyczajenia. Czytelnicy, którzyby się wahali zdecydować na to, że moralność i charakter są rzeczą przyzwyczajenia tylko, mogą się udać do dzieł psychologicznych, nie mogą bowiem rozszerzać swej pracy jeszcze więcej, bo mi i tak już się rozwlekła. Dość tego, co zresztą łatwo wywnioskować nawet z kilku poprzednich uwag, że jak się nabiera złych nałóg, tak się też nabiera i dobrych; można drogą przyzwyczajenia stać się świętym, można też zostać wielonym dyabłem. Nikt się nie rodzi pijakiem, a dopiero później nim zostaje. Śty Augustyn lub śta Magdalena pierwsi nim zostali świętymi, nie byli wcale świętymi, a przeciwnie grzeszyli wiele i ciężko. Przyzwyczajamy się, bo od urodzenia nie umiemy, chodzić, jeść, odchrząkiwać, patrzeć, słuchać i t. d., nikt przecie nie radzi, ażeby uczyć tego wszystkiego przy pomocy kija, a jednakże—choć charakter jest także rzeczą przyzwyczajania—pewna szkoła pedagogów uczy nas, że *roszczenia nikomu nigdy nie zawadzi, bo hamuje działości od wszelkiej złości* i t. p. Widzieliśmy już przed chwilą, że ową *roszczką* leczą od złości rodzaj ludzki od wieków, wszakże bez żadnego skutku. Dzieci swawolą, trzeba je karać, dowodzą ci tkliwi i gorliwi o losy ludzkości uczeni. Za co przecie? Za to, że organizm dziecka potrzebuje ruchu. Dzieci krzyczą,—*różga: „Cicho smarkaczu!*”. Znamy to wszyscy. Chwalimy energię u starszych, tępiemy ją u dzieci. Bo któż wie o tem, że nieumiejące chodzić dziecię skacze i bryka na dowód tego, że ma złożone w sobie ogromne zapasy energii, której nie umie w inny sposób zużytkować. Logika podobnej pedagogiki polega na tem: „*bolą mię uszy od krzyku, głowa mi się zawraca od bieganiny, a więc swawola i krzyczenie dzieci są szkodliwe*”. Dla kogo? Malutkie to pytanie, ale ważne.

Radzą też karać dzieci, jeżeli się źle uczą. Źle uczą. O ileż w tych wyrazach treści! Wystarczyłoby mi jej na cały tom. Trzeba wiedzieć przedewszystkiem, że się dzieci zawsze doskonale uczą tego, co im jest potrzebne. Jeżeli notabene sztuczna pedagogika w głowie nic im nie przekręca. Porównajmy tylko małe dziecię z dużem lat dziesięciu. Patrząc, jak się sześciomiesięczny dzieciak ciągle na wszystkie strony wykręca, jak się pilnie przypatruje najmniejszemu ruchowi, jak lubi kolory, jak się przysłuchuje uważnie. Z pewnego stanowiska jest to „nieznośny bęben”, „wściuba” i t. d.; z innego stanowiska jest to rozwijający się umysł, pochłaniający masę wrażeń, ciekawy do tego stopnia, że aby zaspokoić ciekawość, naraża się nieraz na niebezpie-

czeństwo, które z początku jest mu nieznanne, później zaś doskonale je rozumie. Spójrzmy na dziecię lat trzech. Zapytania syją mu się z ust, jak z rogu obfitości. „Mamo, co to? na co to? dlaczego? jak się nazywa?” Słowem, jeżeli dziecię nie spi, to się pyta. I tu także z jednego stanowiska zapytania te dowodzą, że budzący się umysł pragnie wiedzy, z drugiego, że „*głowę stracę z temi nieznośnymi bachurami*”. Kończy się to klapsami i t. p.

Tak się ma rzecz w pierwszych latach dzieciństwa—całych kilku latach—w przeciągu kilku lat, straconych dla umysłu, pozostawionego samemu sobie. Następuje wreszcie czas uczenia się—czas zupełnie dowolnie naznaczony. Występuje arytmetyka, gramatyka, języki wykładane teoretycznie, geografia, zaczynająca się od tego, że *ziemia jest kulista* i t. p., wreszcie historia i katechizm, a także historia biblijna. Naturalny rozwój umysłu dąży do dowiedzenia się, co robią ryby w wodzie? dla czego pada deszcz? jak krzyczy żaba? Tymczasem trzeba się pasować z 7-ma przypadkami, z Abrahamem, z Ryksą, z próbą dzielenia, trzeba rozważać różnice geografii matematycznej, fizycznej i politycznej, słowem trzeba wiedzieć nad rzeczami istotnie nudnymi, suchymi, na nie dziecku nie potrzebnymi i zmuszającymi je do gwałcenia zdrowej głowy, mającej i bez tego wiele do roboty. Kończy się lekcyą nieznośną, dokuczliwą i męczącą. Co robi dziecię? Pędzi do ogrodu, nad rzekę, rzuca kamienie, łapie motylka, przypatruje się mrówkom, pająkom, wroniemu gniazdu, lubi zobaczyć młyn, tartak, widzieć jak rąbią drzewo, jak kopią w ogrodzie, jak młóć. Lubi naturę i jej życie, ludzi i ich pracę. Myślicie, że to wszystko głupstwo? Bynajmniej. To jest prawdziwa nauka. A te lekcy — to skarcania boże. Chłopiec nie chce się uczyć gramatyki, dziewczynka francuzkich elokubracji. Słuchnie robią. Dowodzą, że mają więcej rozumu od pedagogów. Za co, oczywiście, zasługują na karę. Stara pedagogia bardzo lubi posłuszeństwo. Jest nawet przy słowie, że pokorne cielę dwie matki ssie, t. j. że mu z tem bardzo dobrze. Dziecko nieświadomie protestuje swem lenistwem i nieposłuszeństwem przeciwko systematycznemu ogłupieniu, jakiemu podlega długie lata, dopóki cel nie pozostanie świetnie osiągnięty. Za to też zasługuje na karę. Jeżeli mózg nie jest w stanie strawić jakiegos tam Lota lub spójnika, podobnie jak żołądek źle przyrządzonej i niezdrowej potrawy, mechaniczna pedagogia ucieka się do kar: głodu, klęczenia, różgi i t. d., to jest stara się wepchać na gwałt do głowy to, co się w niej nie może zmieścić, jak gdyby była tłomokiem lub workiem. Wniosek, do którego prowadzą fakta, jest następujący: *Kary pedagogiczne są dowodem naszej umysłowej ciemnoty i niezradności. Karzemy dzieci dla tego, że nie umiemy sobie dać z nimi rady. Karzemy je zamiast samych siebie. Karzemy często własnie wtedy, kiedy zasługują na naszą wdzięczność, dając nam wskazówki, jak z nimi postępować należy.* Może mię kto zapytać, „a więc cóż zrobić, jeżeli karać nie można?” Odpowiedź na to już po części dałem: pilnie baczyć na nie; pamiętać, że wychowanie i wykształcenie jest najtrudniejszym zadaniem; nie zapominać, że dzieci są to tylko mali ludzie i że kara jest przeciwną prawom przyrody.

Feliks Bogacki.

Bogumilici w Bośni i Herzogowinie.

Między wychodźcami, którzy w początku obecnego powstania w Bośni i Herzogowinie, ratując się ucieczką, w Austrii gościnn-

ność znaleźli, znajdować się mają resztki sekty bogumilitów. Tysiąc lat prawie upływa, jak greccy cesarze, ulegając namowom swych biskupów, ogniem i mieczem wystąpić byli zmuszeni przeciwko tym heretykom. Podług Kosmasa, za panowania bułgarskiego cara Piotra (927—968 r.) mnich nazwiskiem Bogumil pierwszy miał błędną naukę opowiadać; od nazwiska tego apostoła nazwali greccy wyznawców jego nauki Bogumilitami czyli Bogu miłymi; oni zaś sami między sobą nazywali się *czystymi*; zresztą nosili różne jeszcze miejscowe nazwy, nadawane im przez przeciwników. Wyznanie ich wiary zostawało w pewnym pokrewieństwie z gnostycyzmem. Nauczali, iż oprócz Boga pierwotnego był jeszcze pierwotny jego Syn, Satanael, przełożony nad wyższymi duchami. Założył on sobie osobne państwo z pułków anielskich, stworzył nowe niebo i ziemię, a na niej człowieka. Lecz mógł mu tylko dać ciało; widząc to Bóg pierwotny, ulitował się nad martwym ciałem ludzkim, tchnął wń iskrę ducha swego, Adam i Ewa ożyli i mieli zastąpić zbuntowanych aniołów. Szczęście pierwszych ludzi wzbudziło zazdrość w Satanaelu, skusił więc Ewę, a owocem ich związku był Kain pierwiastek złego, jak Abel syn Adama — pierwiastkiem dobrego. Następnie rozszerzyli się synowie złego boga po całej ziemi; żydzi przedstawiali najwyższą ich rasę, jaka się w dziele Mojżesza wyraziła. Lecz Bóg ulitował się nad nędzą ludzkości; 5500 roku po stworzeniu świata wyłonił się duch, słowo, zwany Jezusem. Był on eterycznym, nieujętem wyobrażeniem tylko ludzkiego ciała na ziemi. Satanael zabił Chrystusa, lecz ten po trzech dniach ukazał mu się na nowo w swej boskiej potędze, zmusił przeciwnika do wyrzeczenia się boskiego charakteru i sam zasiadł na prawicy Ojca. Chrystus teraz panował na ziemi, i dla utrwalenia swego wpływu, zesłał Ducha Ś-go. Gdy obaj dzieła dokonali, odwołał ich Bóg dla zachowania swej jedności. Wychodząc z tych zasad, odrzucili bogumilici część Starego Testamentu i przyjęli tylko nowy. Również odrzucili chrzest, oraz sakrament ciała, a na ich miejsce przyjmowali chrzest duchowy przez wkładanie czyli błogosławieństwo rąk, a chleb uznali za zwykły, gdyż nie mógł on przedstawiać ciała Chrystusa, skoro tenże go nie posiadał, ale tylko jego wyobrażenie. Również odmówili świętości Maryi i znaczenia krzyżowi. Przeciwiństwem między pierwiastkiem dobrego i złego, które najprzód u Persów, a następnie także u Manichejczyków, zasadę wiary stanowiło, przyniosła religia chrześcijańska z Azji. Konstantyn Kopronymos miał około 752 manichejskich i gnostyckich kacerzy z Armenii do Tracji przesiedlić; następnie Cimiskes za czasów Bogumila Pauliciana również ich z Azji w okolice Filipopola przeniósł. Tym sposobem obce doktryny szybko się rozszerzyły, mianowicie między Słowianami, w których chrześcijaństwo niezbyt jeszcze silne korzenie zapuścił. Wspomnienia starych bogów żyły między nimi; wiara w białych dobrych i czarnych złych bogów była świeżą, więc też nowa, podobna nauka, żywo przemawiała do ich wyobraźni; tysiącami przyjmowali wiarę bogumilitów. Wkrótce nawet zacisza klasztorne na górze Athos zabrzmiały gwarem sporów o dogmata, a spółzawodnictwo między greckimi i sławiańskimi mnichami bogumilitami zawrzało i oplakanych scen stało się powodem.

Lecz greckie duchowieństwo nie mogło ścierpić sekty, która nie o uprzywilejowanej kście kapłańskiej wiedzy nie chciała; również i państwo nie mogło być względem dla wyznawców nauki, która głosiła, iż każdy jest niezależnym i nikomu służyć nie powinien. Bulgarzy w owej epoce uży-

wali sławy kupców najzręczniejszych w Europie. Mieli związki z Górnymi Włochami, Wenecją i przez nią z Niemcami, trzeba więc było przeciwko „zarazie” nowej wiary wystąpić i złe ogniem i mieczem wytępić. Cesarz Aleksy Komnenus (1081—1118 r.) postanowił sekciarzy wyniszczyć. Udał więc przed naczelnikiem bogumilitów Basiliusem zamiar przystąpienia do ich sekty i kazał mu objaśnić sobie nową naukę, podczas gdy ukryty pisarz każde słowo zeznania notował. Na tej zasadzie Basilius i wielu jego współwyznawców zostało uwięzionych i wszystkich na karę stosu skazano. Przeprowadzeni na plac traceniał ujrzeni dwa stosy: na jednym zatknięty był krzyż, godło, którem się bogumilicy brzydzą, drugi był bez tego znamienia. Skazanym objaśniono, iż cesarz w szczególnej swej łasce, swobodnie im pozwala wybrać jeden z dwóch stosów, na którym umrzeć pragną. Tych którzy stos z krzyżem wybrali uwolniono, resztę zaś wtrącono do więzienia i tylko jeden Basilius spalonym został. Już w ostatniej chwili cesarz starał się go skłonić do odrzeczenia od wiary; starzec, który pięćdziesiąt lat przewodniczył bogumilicom był niewzruszony. Gdy zapalono stos zawołał: „Anieli przychodzą, aby mię uwolnić!” i z temi słowy oddał ducha. Ta stałość powszechnie wzbudziła podziwienie. Anna Komnena, dziejopisarka swego ojca Aleksego, przypisała ten heroizm działaniu złego ducha. Wpływ poświęcenia się Basiliusa na jego współwyznawców był bardzo wielki i przyczynił się do ugruntowania sekty.

Lecz te i następne prześladowania nie osiągnęły celu. Prześladowani uciekli, lecz tym sposobem rozszerzyli swoją naukę, mianowicie zaś dostała się ona do Serbii. Lecz i tu greckie duchowieństwo nie myślało jej pozostawić w spokoju. Na domaganie się biskupów Stefan Niemanja, założyciel serbskiego państwa, zwołał synod krajowy, na którym postanowiono „rozrywających jedność Trójcy i wyznawców szatana” jako kacerzy wszelkimi środkami wytępić. Póty więc palono bogumilitów na stosach, zabijano i więziono, dopóki nie opuścili kraju. Naczelnikowi ich ucięto język i wygnano z granic państwa. Prześladowani schronili się do Bośni. Panował tam wtedy Kulin (1168—1204 r.), jako ban z ramienia węgierskiego króla, a jego rządy złotym były czasem dla kraju i dziś są jeszcze wspomniane jako „vremena Kulinowa”. Jego następcy Kulinowici, lubo dziś begowie, używają poszanowania, a okolica nosi nazwę Kulinowakuf — część Kulina.

Kulin sam i ówczesny biskup Bośni Daniel okazali się dość przychylnymi nowej nauce i pomagali jej wyznawcom tajemnie, co było tym łatwiejszem, iż bogumilicy, nauczeni dotychczasowem smutnem doświadczeniem, patrzyli przez szpary, gdy wierni dla pozorów uczęszczali do cerkwi i wypełniali zewnętrzne ceremonie. Wkrótce przybyli także do Bośni inowiercy z Włoch i Francji, gdzie paulicjanie, albigensi w okrutny sposób przez kościół rzymski byli prześladowani; wszystkie te sekty gnostyczne stały do siebie w pewnym związku, a głównie zbliżało je prześladowanie, jakie spotykało za odstępstwo od jedności kościelnej. Wkrótce też papież Innocenty III zwrócił się do dworu węgierskiego z żądaniem, aby Paterianów, jak bogumilitów w Rzymie nazywano, z Bośni wygnać rozkazał, a bana Kulina do Rzymu przysłał. Zrozumiano, o co chodzi. Kulin do Rzymu pojechał i jako wierny syn kościoła usprawiedliwił się, w czym mu bogate podarunki dla Papieża i kardynałów dziwnie skutecznie pomogły. W Dalmacji szybko się nauczyciele błędu rozszerzyli. Dwaj bogaci złotnicy, Mateusz i Aristodiusz z Zary, obznajmili się w swoich wędrownych handlo-

wych z nową wiarą i przynieśli ją do ojczyzny, gdzie, jak twierdzi Farlati, szczególnie między bogatymi i znakomitymi ucho znalazła. Lecz arcybiskup ze Spalato wkrótce zabrał się z całą gorliwością do wypłeniczenia chwastu, rzucił na obu złotników kłęb i majątki ich skonfiskował. Obaj uwięzieni osadzili za rzecz przyzwoitą mienie swe ratować wyrzeczeniem się błędu, gdy inni współwyznawcy z kraju uciekli.

Tymczasem obmyty z winy Kulin, powrócił do Bośni i nie przestawał bogumilicom sprzyjać. Brat jednak serbskiego króla, Stefan Urosz, porzuciwszy greckie wyznanie, przeszedł na obrządek łaciński, aby z Rzymu tytuł króla Dioklecyi otrzymać; on to Stolicy Apostolskiej doniósł, iż w następstwie poparcia Kulinowego liczba herezyków do dziesięciu tysięcy w Bośni wzrosła. Otrzymał więc w r. 1200 król węgierski ponowny rozkaz, aby, pod zagrożeniem kłęb i konfiskaty majątków, kacerzy na dobrą drogę zwrócił. Biskup ze Spalato miał sobie poleconem każdego święta ogłaszać z ambony interdykt przeciw biskupowi Danielowi, który niebezpiecznej herezyi sprzyjał. Lecz czy to, że dwór węgierski niedostatecznie był w wierze umocnionym, czy też, że lękał się tylu przychylnych sobie ludzi obruszyć, pozostawił wszystko w dotychczasowym stanie, dając Kulinowi radę, ażeby patrzył przez szpary. Jakoż nic się nie zmieniło aż do śmierci Daniela, zaszłej w 1203 r., a arcybiskup ze Spalato, zadowolony, iż we własnym kraju wolny jest od różnawców, dalej tej sprawy nie poruszał.

Po śmierci Daniela, przybył papieżki legat, aby spróbować swej wymowy na herezykach, lecz musiał się kontentować niewielkim plonem, podczas gdy większość została wierną swej nauce i w tajemnicy zasady swe rozszerzała. Są poszlaki, że nawet mnisi zakonu Śgo Bazylego nie wolni byli od zarazy, chociaż się jej potem wyrzekli. Z wiosną 1203 r. zebrał się bogumilicy u Kulina i przed papieżkim legatem i archidyakonem z Raguzu, jak podaje Farlati w swem *Illyricum sacrum*, wyznali uległość dla Stolicy Ś-tej. Pod następcami Kulina znowu powtórzyły się zabiegi papieżkie, ale niemniej bezskutecznie, gdyż herezya wrażała jak nigdy. Zgromadzeni nawet bogumilicy wybrali sobie naczelnika, który gminami w Illyrii, Dalmacji, Włoszech, Istrii i Krainie zarządzał. W czasie rozruchów, jakie z tego powodu partya rzymska wstąpiła, zburzoną została katedra w Kreszewie „znakomitej stolicy znakomitego królewskiego dworu”, a biskup poszedł na wygnanie.

Na nalegania papieża Honoriusza III-go i Grzegorza IX-go, rozpoczęły się znowu prześladowania: przywrócono biskupstwo bośnijskie i odbudowano kościół. Napad Mongołów, przed którym Bela IV-ty węgierski najprzód do Spalato a następnie do Trawy uciekać musiał, pozwolił bogumilicom spokojniej odetchnąć, chociaż już w roku 1246 rozpoczęły się prześladowania na nowo i wielu z nich zostało zabitych, a wielu uciekło.

Postanowiono zresztą chwycić się w Rzymie innego sposobu. Prysłano do Bośni braci nowo założonego wtedy zakonu Franciszkanów, spodziewając się, że ich wymowa dokaże nawrócenia grzesznych. Jakoż czynność zakonu mogła tyle dokazać, iż w 1260 roku oczyścili pewną przestrzeń, gdzie Vicaria Bosnae Argentinae założoną została.

W 1302 r. został banem Mladin Pawłow Szubić, który się również zyczliwym dla bogumilitów okazał; wprowadził papież jeszcze groził, lecz wszystko zostało po dawnemu aż do 1322 r., w którym to czasie, Karol Robert d'Anjou, zwyciężył Mladina i usunął. Jego następcą Stefan III Kotro-

manowicz musiał rozkazy króla i papieża wykonać—lecz kacerze okazali się za silni. Nietylko że nie ulegli, ale zmusili bana do nadania im szerszych swobód; ban, nie mając posiłków z Węgier, względem których zależność jego była więcej nominalną niż rzeczywistą, chętnie się zresztą ze swem przeznaczeniem zgodził, tem więcej, że królowie serbscy chcieli się w Bośni silnie ugruntować, chociaż tam już Turcy grozili. W roku 1376 ostatni ban bośnijski Trwarko królem okrzyknięty został i przez katolickiego biskupa, chociaż w greckowschodnim klasztorze Miłoszewo w Raszcy, ukoronowany. Panowanie jego jest złotym dla Bośni wiekiem: kraj przyprowadził do stanu kwitnącego, a Serbom na Kosowe pole posłał pomocniczą armię z 20,000 ludzi złożoną (1389). Pod jego rządami bogumilicy podnieśli się na nowo w Bośni, Herzogowinie, Raszcy, w Albanii rozszerzyli się, jak również w Dalmacji, szczególnie w Kninie, gdzie nowych znaleźli zwolenników. Lecz to stało się znowu powodem iż biskupi Kninu, Trawy, odnowili dawne prześladowania. Knin był i dla węgierskich królów dość ważny, ażeby dobrym pasterzom nie miano udzielić pomocy, gdy się tak gorliwie poczęli krzątać około zabezpieczenia swej owczarni. Ogłoszono więc, iż każdy bogumilicy, któremu jego wyznanie dowiedzionem przez dwóch świadków będzie, lub też przez spowiednika—zostanie spalonym. Tym razem wzięto się z taką energią do dzieła, iż wielu kacerzy, którzy nie zdołali dość wcześnie umknąć, zginęło w męczarniach ku chwale Pana Boga, inni zaś rozbiegli się na cztery strony świata. Największa ich liczba zgromadziła się w Bośni, gdzie w niedostępnych górach i lasach osiedli, przynosząc tym sposobem do dzikiego kraju zadatki kultury. W wigilię Ś-tej Katarzyny, w okolicy, gdzie się osiedlili bogumilicy, powstał pożar leśny, który znaczne przestrzenie z roślinności ogłodził. Franciszkanie upatrywali w tem palec karzącej ręki Boskiej, pateryanie zaś cieszyli się z tego zdarzenia, przypisując go łasce bożej, oszczędzało im to bowiem wiele pracy przy karczunku lasu pod pola.

Znowu więc przyszedł z Rzymu i od króla Ludwika Węgierskiego rozkaz, aby chwast niewiary wyrwać z korzeniem, lecz Twaroko, który kacerzom zaudzielał pomoc w niejednym wypadku, ani myślał ich niepokoić i używali też pomyślności aż do jego śmierci, zaszłej 1392 r. Bośnia była kwitnącą, lecz nagła śmierć jej władcy wywołała zamieszki o pozyskanie tronu. Panowie, którzy przez krótki czas dzierżyli po nim berło, posiadali zbyt mało siły, aby swą niezawisłość zabezpieczyć. Czwartym z rządu królów Stefan Tomasz (1440—1460) wahał się między węgierskimi, rzymskimi i tureckimi wpływami, a od dwóch pierwszych nie doznając opieki, zmuszony był już Turkom płacić haracz.

Z tego chaosu bogumilicy korzystali najwięcej, gdyż stawali po stronie tego, który im największe zapewniał korzyści. W roku 1433 wysłali czterech swych biskupów na koncylium do Bazylei, lecz ponieważ od nauki swej odprysiadz się nie chcieli, nie zostali przeto przypuszczeni do zgromadzenia. W cztery lata później weszli w związki z Hussytami, ale bez szczególnej dla siebie korzyści.

W 1441 r. hrabia z Humska, Stefan Kozacza, zdołał zrzucić z siebie lennictwo bośnijskie i zamienił je na lennictwo cesarskie, za co od cesarza Fryderyka IV (III) dostał tytuł „Herzoga”, z kąd poszła nazwa Herzogowiny. Lecz i rzymska partya nie próżnowała; biskup Józef oskarżył króla w Rzymie o słabość w pobliżaniu herezyi i tylko Franciszkanie, pracujący w pełni sił, tytuł „niezwyciężonego muru bożego kościoła”

zyskali. W 1446 r. zwołał król sejm do Konińsce, gdzie bogumilici i inni heretycy sądzeni byli. Jedni odrzekli się od swej nauki szczerze, inni pozornie, a 40,000 pociągnęło do Hercogowiny, gdzie nowy Herzog S-go Sawy przytułek im udzielił. W 1460 roku król Stefan Tomasz przez własnego syna zabitym został, a wdowa Stefana Katarzyna (później przez franciszkanów za uczyniony zapis swego kraju papieżowi i śmierci w odosobnieniu w Rzymie, uznana za świętą), Turków na pomoc przyzwała. Już w 1463 r. szedł sułtan Mahmud z potężnym wojskiem do Bośni, gdzie mu jak powiadają, za zdradę bogumilitów, wiele się miast poddało. Król uciekł do Jajce, a następnie do Ključ'a, gdzie go obległ wielki wezyr. Obleżony król kapitulował pod warunkiem, iż otworzy im warownie, gdy inne państwo zostanie mu wyznaczonem. Gdy jednak wojska jego złożyły broń, sułtan warunki kapitulacji uznał za żadne, nie czując się w obowiązku dotrzymać niewiernemu danego słowa. Dnia 30-go Czerwca 1463 r. król Stefan Tomaszewicz z wielu szlachetnymi, którzy mahometanizm przyjąć nie chcieli, został na polu Blagaj stracony. W cztery lata później przeszła Hercogowina pod jarzmo tureckie. Część bogumilitów ratowała się ucieczką, większa część pozornie przyjęła wiarę proroka, a tylko mniejszość została wierna nauce ojców i żyła w ukryciu aż do ostatniego w 1875 r. powstania, gdy znów została do opuszczenia swej ojczyzny zmuszoną i w granicach Austrii szuka bezpieczeństwa.

Jest to ciekawa z jednej strony ilustracja stosunków na półwyspie Bałkańskim, a z drugiej skutku, jaki osiąga prześladowanie religijne.

F. H.

Z prowincyi.

IV.

W sprawie miasteczek podnosi głos *Gazeta Lubelska* w noworocznym swym numerze. Organ ten słusznie gromi prasę naszą, która zajmuje się lada bagatelniemi sprawami lub „wielką polityką”, a pomija sprawy podstawowe, pomija tysiączne drobne kółka tej wielkiej maszyny, która nazywa się społeczeństwem. Ciasne zakątki kraju są jakby murem chińskim oddzielone od głównych ognisk życia, nikt na nie nie zwraca uwagi i można śmiało powiedzieć, że wiemy więcej, co się dzieje w Ameryce, niż np. w Pacanowie.

„Miasteczka nasze—powiada *Gaz. Lub.*—nie są, jak być powinny, choćby drobnymi ogniskami postępu, ale sferą nędznej vegetacji i to właśnie w dążeniu powszechnem do podniesienia ekonomicznego bytu narodu bardzo może przeszkadzać—to sprawie nadaje doniosłość, nad którą warto popracować”.

Lubelski organ przemawia wprost głosem bratnim do tych, którzy z życiem miasteczek stykają się bliżej i którzy na życie to niezawodnie pewien wpływ mogą wywierać.

W dalszym ciągu autor artykułu zwraca uwagę przedewszystkiem na brak ducha inicjatywy w małych miasteczkach. Każdy tutaj sobą tylko zajęty; nikt nie pamięta, że jest członkiem jednej wielkiej rodziny, która się społeczeństwem zowie i dla której pracować jest świętym obowiązkiem każdego obywatela. Ludzie, których jedna myśl powinaby ożywiać, jedna dążność zbliżać, spoglądają na siebie ze znaną małomiasteczkową zawiścią. Rozbici na koteryjki, tracą z oczu cel podnoszenia wspólnemi siłami życia w zakątku, do którego ich los zaniósł. Jednostka, któraby wpływem swym i sta-

ranie przyczyniła się do utworzenia w miasteczku skromnej choćby np. czytelnicy, oddałaby ogółowi większą usługę, aniżeli gdyby ktoś wydał w Warszawie kilka pism peryodycznych. Więcej zrobiłby ten, który nie sadząc się na oryginalne odczyty, czytywał małomiasteczkowej ludności (w niedziele naprzykład), dobre, pouczające książki—aniżeli zrobiłby mogli wszyscy prelegenci warszawscy. Większą byłaby zasługa paru jednostek, stwarzających w miasteczku kasę pożyczkową, aniżeli gdyby kilku nababów warszawskich założyło tutaj parę jeszcze banków handlowych.

Gaz. Lub. zamierza w szeregu artykułów obszerniej rozebrać powyższą kwestyę.

Że w niektórych zakątkach kraju naszego jednostki wpływowo nie próżnują, za dowód tego posłużyć może szlachetna agitacja pana Stefana Kowerskiego rady Dyrekcyj Szcz. Tow. Kred. Ziem., w Krasnostawskim zamieszkałego, który gorąco pragnie przy współudziale ziemian założyć w swej okolicy spółkę pożyczkowo-oszczędnościową, na wzór tego rodzaju instytucji, istniejącej w majątku Szemetowszczyźnie w gubernii Wileńskiej, powiecie Święciańskim. Celem tej spółki, jak się dowiadujemy z ustawy przez p. Kowerskiego z tekstu rossyjskiego przełożonej i w osobnym dodatku do *Gazety Lubelskiej* wydrukowanej, jest danie możności swym członkom: 1) otrzymywanie procentów od sum przez nich zaoszczędzonych i 2) zaciąganie niezbędnych im pożyczek, pod warunkami najmniej uciążliwymi. Ciekawych dla poznajomości się ze szczegółowemi normami rzeczony ustawy odsyłamy do *Gaz. Lub.*, dodamy tylko, że rzeczony organ, ogłaszając takową, otwiera szpalty swe dla wszelkich nad nią uwag i podyktowania zmian, jakie mogłyby okazać się właściwymi ze względu na stosunki okolicy, w której spółka pożyczkowo-oszczędnościowa projektuje się.

W ogóle przynależy, iż organa naszej prasy prowincjonalnej nie pomijają żadnej ważniejszej sprawy, ogół miejscowy interesującej i szczegółowo się nad nią zastanawiają, w czem nawet należy im przyznać wyższość nad organami prasy warszawskiej. *Kaliszanin* np. z powodu przysyłanych prac gubernialnego komitetu statystycznego, zastanawiając się nad wieloma niedostatkami, jakie niewątpliwie będą miały miejsce przy zbieraniu wiadomości statystycznych przez właściwe władze administracyjne, czyni propozycyę, zasługującą ze wszzech miar na uwagę. Proponuje mianowicie szczegółowy zbiór wiadomości od jednostek następującym sposobem: Ponieważ urzędy miejskie i gminne, według instrukcji w prowadzeniu i utrzymywaniu ksiąg ludności, obowiązane są w pierwszych dniach każdego roku sprawdzać ludność na gruncie, należy więc zaopatrzyć urzędy te w odpowiedni wykaz, obejmujący w sobie wszystkie działy wiadomości statystycznych i zalecić, by przy konfrontacji ludności kolejno podług numeru domu wpisywały się w takowy wiadomości z objaśnieniami każdego obywatela, autentyczność których tenże winien stwierdzić własnoręcznym podpisem na marginesie wykazu. Podpis taki byłby zarazem pewnym rodzajem kontroli. Zalecić policyi czuwanie nad tem, iżby zbieranie wiadomości odbywało się koniecznie na gruncie, a nie w kancelaryach urzędów, i iżby o każdym odstąpieniu od tego donosiła władzy powiatowej, która powinna zle sprostować. Oryginał powstałego takim sposobem wykazu winien być odsyłany do powiatu lub gubernii, a kopia zachowywana w aktach miejscowych. Aby uniknąć omyłek i niedokładności, należy zachować w wykazie miary i wagi takie, jakie się praktykują w danej miejscowości; ogólny zaś rezultat komitet mógłby nader łatwo zamienić na miary

i wagi przez siebie przyjęte. Jedyną trudność przedstawia tu treściwe ułożenie wykazu, ale to trudność najmniejsza.

Na zakończenie dzisiejszej pogadanki opiszemy wam, łaskawi czytelnicy, ciekawy numizmat, jaki posiada jedna z dam w Chełmskiem zamieszkała. Po jednej jego stronie wyryta jest różyczka migdałowa i napis w języku hebrajskim: „Jerzolima święta”, po drugiej zaś stronie napis: „Szekel Izrael” i wyryta urna. Pieniądz to srebrny, wielkości pół rubla. Wielu rabinów, którzy ten srebrnik oglądali stwierdzają jego autentyczność i odnoszą do czasów panującego w Jeruzolimie króla Aidoniego Zedek, Dawida lub Salomona, albo też Heroda. Za numizmat ten kahał lubartowski ofiarowywał rs. 150, posiadaczka jednak sumy tej nie przyjęła, nie chcąc pozbyć się pamiątki, która oddawna w jej rodzinie pozostaje wraz z podaniem, że moneta rzeczona jest jednym ze srebrników, wypłaconych Judaszowi za zdradliwy pocałunek Chrystusa.

KRONIKA POWSZECHNA.

a) z Cesarstwa.

Akt oskarżenia, w sprawie o przestępną propagandę. (*Goniec Urzędowy*. C. d.). W bliższych stosunkach z osobami propagującymi na Wyborgskiej stronie, pozostawali Bogomolow i Mokijewski-Zubok. Bogomolow założył kuźnię, w której pracowali, przygotowując się do rewolucyjnej działalności, członkowie tak zwanego kółka artylerzystów oraz Czaruszyn, którego zaareztowano w domu Bogomolowa. Odnosi się Mokijewskiego-Zubka śledztwo wyjaśniło co następuje: według dwóch robotników, Krapotkin, dowiedziawszy się raz, że w willi Babonina nocowali robotnicy, mający przedtem zajęcia u studentów, rzekł, że należy ich sprowadzić do Zubka, wskutek czego dwaj z nich, otrzymawszy od Krapotkina bilecik, w którym napisane były tylko wyrazy: „Wasz przyjaciel Borodin” udali się do Zubka według adresu, wskazanego im przez Krapotkina. Mokijewski-Zubok, przywoławszy robotników do traktierni i dowiedziawszy się od nich o życzeniu Krapotkina, objawił gotowość zajęcia się nimi; w tym celu chciał nająć osobne mieszkanie, dodawszy, że spodziewając się ciągle rewizji, nikogo u siebie nie przyjmie i żadnych nie ma książek, które zresztą wkrótce do niego nadejdą. W czasie przedwstępnego śledztwa Mokijewski-Zubok, zostając pod nadzorem policyi, wymknął się z Petersburga i następnie był zaareztowany w Moskwie wtędy, kiedy próbował wejść w stosunki z zatrzymaną w policyjnym domu Jauszkiego cyrkulu córka sztabs-kapitana Lidya Figner, obwinioną o przestępstwo stanu i obecnie już osądzoną.

Przestępna działalność powyższych osób stała się wiadomą rządowi w połowie 1874 r.; wszystkie one były zaareztowane, z wyjątkiem Szyszki i Klemensa, którzy zdolali skryć się przed pogonią i zbiegł do Moskwy, gdzie razem z Krawczyńskim zajęli się organizacją moskiewskich kółek. Czaruszyn zaareztowany został w mieszkaniu Bogomolowa, przyczem nazwał się synem kupca, Piotrem Szurawinem. Przy rewizji u niego znaleziono: książkę zapisową, dwa listy, pochodzące widocznie od włościanina, jeden z nich z wykrejonemi nazwiskami, w którym mowa między innymi, że „nas ośmioro ludzi nierozłącznych, którzy mają pojęcie”; kartkę zaczynającą się od słów: „dla Wiktora i jemu podobnych”; kartkę podpisaną literami „I. Sz.”—„Oddawca tego Czaruszyn, wspólny przyjaciel mój, Johana i Czajkowskiego”; rękopiśmienną odezwę „do rolniczej ludności” i książki: *Sila słone łamie*, *Ostatnia rewolucya* Hambona, *Państwowość i Anarchia* i *Historyczny rozwój Internacjonalu*.

Przy rewizji u księcia Krapotkina znaleziono: kilka rozpraw o międzynarodowym stowarzyszeniu robotników, paczkę z napisem „do Moskwy” z trzema wywabionemi blankietami paszportowemi i cyfrowaną kartką, długi list cyfrowany, zakleiony w kopertę z Moskwy pod adresem „Mikołaja Aleksiejewicza”, podpisany literą „K.”, w którym to liście jest mowa o podróży dwóch osób do Tulskiej i Riazańskiej gubernii, w celu rewolucyjnej propagandy. Po rozbiórce pisanego cyframi listu i biletu okazało się, że w bilecie wskazywano sposób wywabiania tekstu paszportów i że list był otrzymany z Moskwy od osoby, niewątpliwie do towarzystwa rewolucyjnego należącej. W liście tym, który służy za wyraźny dowód ustalonego na wiosnę 1874 r. związku petersburskich agitatorów z moskiewskimi, są wzmianki o Obnorskim, Serdiukowie i Frotenu, z których ostatni należał do moskiewskiego kółka studentów Piotrowskiej Akademii.

U Jana Hauensteina znaleziono: pieniądze w ilości rs. 1,100 kop. 73, oraz pisane ręką Krapotkina roz-

